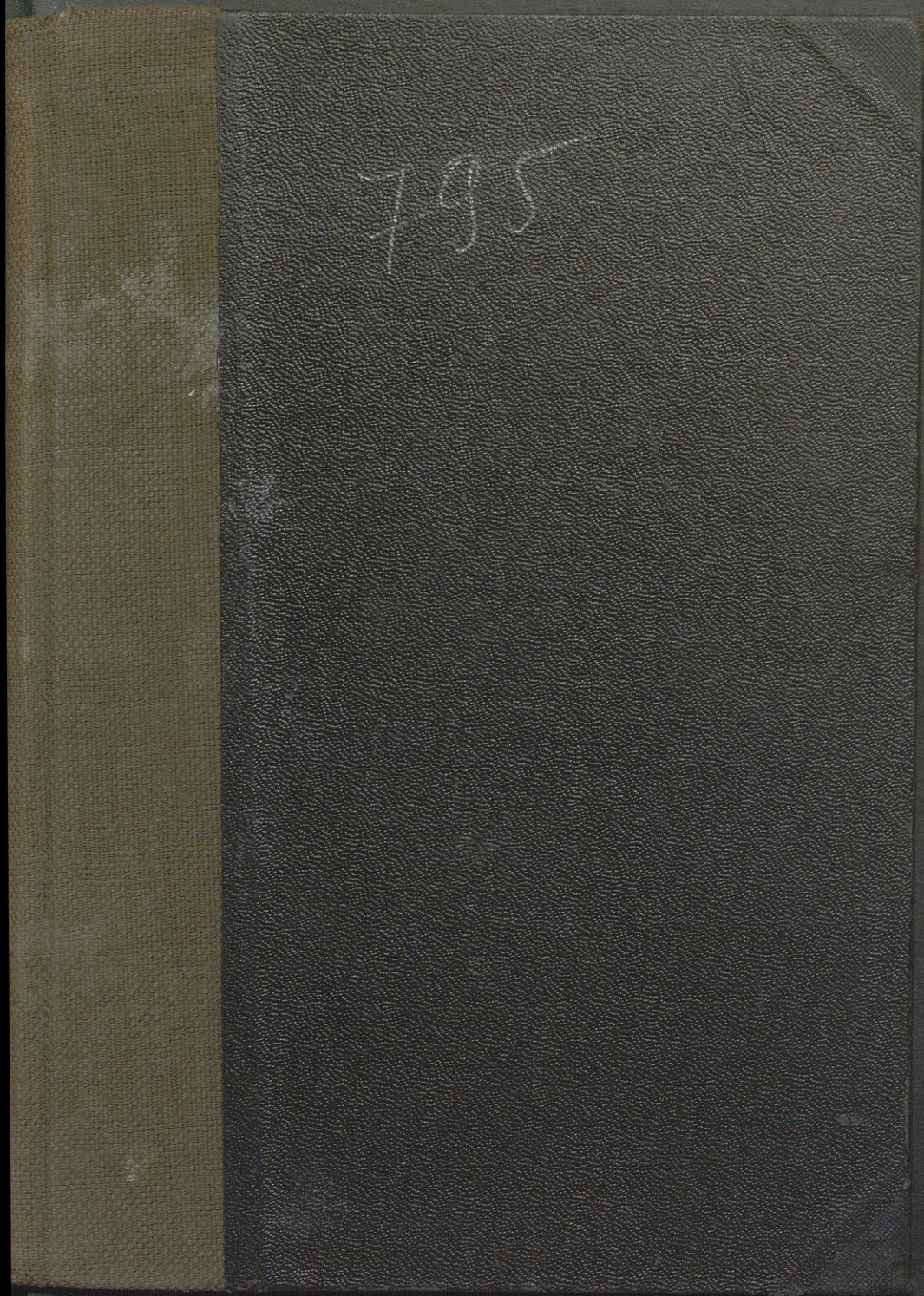


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



795



422

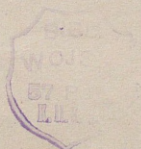
57. p. p. Wilkp.
(3. o. Strz. Wilkp.)
Kierownik oświaty

L. dz.

Z MARSZAŁKIEM PIŁSUDSKIM
NA MADERZE



Marszałek Piłsudski w towarzystwie gen. Carmona'y,
prezydenta Portugalji.



M. B. LEPECKI

Z MARSZAŁKIEM PIŁSUDSKIM
NA MADERZE

843,

Biblioteka Wojskowa
57. pułku piechoty Wilk.
(3. p. Strz. Wilk.)

422

WARSZAWA 1931

GŁÓWNA KSIĘGARNIA WOJSKOWA

Zakł. Graf. „Drukarnia Bankowa”,
Warszawa, ul. Moniuszki nr 11.

SPIS RZECZY.

	<i>str.</i>
Rozdział I. Z Warszawy do Lizbony	1
Rozdział II. Okrętem portugalskim przez Atlantyck	8
Rozdział III. Opis wyspy Madery	19
Rozdział IV. Funchal'	30
Rozdział V. O sławnem winie z Madery	36
Rozdział VI. Jak Marszałek Piłsudski mieszkał i jak spędzał czas na Maderze	40
Rozdział VII. Galerja gości egzotycznych u Mar- szałka Piłsudskiego	49
Rozdział VIII. Tragiczna operetka rewolucyjna w Funchalu	57
Rozdział IX. Wyprawa na wyspę Porto Santo	66
Rozdział X. Okręt polski „Niemen” w Funchalu	70
Rozdział XI. Listy z Funchalu do Polski	75
Epidemja w Funchalu	75
Jak w angielskiej powieści...	76
Morderstwo	77
Marszałek Piłsudski opowiada	78
Historja zaginięcia szabli	82
U grobu Karola Habsburga	85
Po 72-u dniach	89
Nieco o teozofji	91
Trochę geografji	94
Biedny Freitas!	95
Flota angielska w Funchalu	95
Jakie pisma czytał Marszałek Piłsudski	96
Marszałek myśli o powrocie	96
Pierwsze wieści o „Wichrze” na Maderze	98
Wiosna, wiosna!	100
Plotki	103

	str.
Rozdział XII. Wycieczka na wschodnią stronę wyspy	106
Rozdział XIII. Imieniny Marszałka Piłsudskiego	111
Rozdział XIV. Żegnaj Madero!	118
Rozdział XV. Cztery tysiące kilometrów podróży na „Wichrze”	124

ROZDZIAŁ I.

Z WARSZAWY DO LIZBONY.

Już w lecie ubiegłego¹⁾ roku Marszałek Piłsudski postanowił udać się na zimę w strony cieplejsze, gdzie mógłby po trudach i kłopotach, związanych z prowadzeniem nawy państwowej, odpocząć i nabrać sił do dalszej pracy. Z sumiennością i ścisłością sobie właściwą, rozpoczął już wówczas zaznajamiać się z wszelkimi możliwymi terenami, które odpowiadałyby temu celowi. Po dłuższem wertowaniu różnych przewodników i książek, doszedł do przekonania, że najodpowiedniejszymi miejscami będą: Egipt albo Madera. I wówczas, jak oświadczył później prezydentowi Portugalji, gen. Carmona'ie, zdał się na instynkt swych ukochanych córeczek, Wandzi i Jagódki.

— Poradźcie ojcu — rzekł do nich.

Nie wiem, oczywiście, czem dziewczynki się powodziwały, doradzając tatusiowi Madere, a nie Egipt. Może wiedziały o tem, że w Egipcie są lwy, a na Maderze niema, może poprostu dźwięk nazwy lepiej się im podobał — nie wiem. Dość, że instynkt ich nie zawiódł. „Tatuś“ wrócił z kraju, który wybrały, zdrow, pełen sił i energji.

¹⁾ To zn. 1930 r.

Jak wszystkie wyjazdy i przyjazdy Marszałka Piłsudskiego, również i wyjazd na Maderę zgromadził na stacji niemal wszystkich dygnitarzy wojskowych i państwowych. Był obecny również i korpus dyplomatyczny.

Dnia 15 grudnia o godzinie 19 minut 30 pociąg, wiozący Marszałka, opuścił dworzec Główny i potoczył się w kierunku zachodniej granicy państwa. Marszałek opuszczał Polskę w towarzystwie płk. dr. Marcina Woyczyńskiego, z którym odbywał poprzednio podróż do Rumunii.

Tak zwana „salonka“, czyli wagon specjalny, przeznaczony dla Marszałka Piłsudskiego, przedstawiała się wprawdzie dość skromnie, ale przyzwoicie. Jedyne brak przewodów elektrycznych, które pozwalałyby ją włączyć do pociągów elektrycznych, dawał się nieco we znaki. Ze względu na ten brak, wagon Marszałka musiał jechać przez całą Szwajcarję, jako ostatni, co, jak wiadomo, powoduje w tym górskim kraju niemiłe trzęsienie i „rzucanie“.

Zaraz po opuszczeniu Warszawy, Marszałek Piłsudski rozebrał się i po krótkim przeglądzie książek, które wziął z sobą do czytania, położył się spać. Obudził się dopiero następnego dnia około 9-ej rano na granicy austriacko-czeskiej, nie widząc nawet zapewne, że rząd pobratymczego narodu ustawił wzdłuż całego toru postępowania ochrone.

Gdy tylko pociąg wjechał na terytorjum austriackie, zgłosił się do płk. dr. M. Woyczyńskiego jakiś konduktor i przedstawił do zapłacenia rachunek w sumie dwustu kilkudziesięciu szylingów za „przevekslowanie“ salonki na stacji granicznej.

Jeszcze przed przybyciem do Wiednia, Marszałek ogolił się, ubrał i zjadł śniadanie. W stolicy Austrii nie opuszczał salonki wcale. Godzinę czasu, którą zużyto na nowe „przevekslowanie“ salonki z dworca północnego

na zachodni, spędził w towarzystwie posła Badera, który oczekiwał pociągu warszawskiego na peronie, meldując się w salonce niezwłocznie po jego przybyciu.

Prasa wiedeńska pomieściła obszerne informacje o wyjeździe Marszałka na Maderę i o jego przejeździe przez Wiedeń. Na stacji znalazło się mnóstwo dziennikarzy i fotografów, ale, jak zwykle, Marszałek nie udzielił im żadnych wywiadów.

Po południu Marszałek opuścił Wiedeń i przez Salzburg udał się ku granicy szwajcarskiej. Piętnaście godzin drogi, dzielących te punkty, Marszałek spędził najpierw na czytaniu i oglądaniu ładnych widoków, które roztaczają się z okien pociągu, a następnie — na spaniu.

Do granicy szwajcarskiej pociąg przybył w nocy. Na pierwszej stacji oczekiwał poseł Modzelewski i przedstawiciel władz federalnych. Ze względu na porę nocną nie miały miejsca żadne ceremonje. Również dalsza droga do granicy francuskiej nie obfitowała w nic szczególnie ważnego do zanotowania.

Już dzienniki, które Marszałek Piłsudski otrzymał w Wiedniu, zawierały wiadomości o rewolucji republikańskiej w Hiszpanji, która wybuchła 15 grudnia, jednak nikt nie zwrócił na nie uwagi. Następnego dnia doniosły szwajcarskie pisma niemieckie i francuskie o buncie garnizonu wojskowego w Jaca, o powstaniu lotników w Madrycie i walkach policji z tłumem w mieście San Sebastian, przez które wypadła droga do Lizbony. Wieści te zaniepokoiły dr. Woyczyńskiego, który zwrócił się do Marszałka z przedłożeniem, aby marszrutę zmienił i podróż do Lizbony odbył z Bordeaux drogą morską. Na tę interpelację Marszałek odpowiedział krótko:

— Mamy jeszcze czas. Zobaczymy, co będzie dalej.

Zaraz na pierwszej stacji francuskiej zameldował się prefekt departamentu granicznego, oraz poseł Chłapow-

ski wraz z attaché wojskowym, płk. dypl. Bleszyńskim. W Lyonie zgłosił się dowódca miejscowego okręgu korpusu wraz z gronem wysokich dygnitarzy wojskowych, oraz przedstawicieli władz.

Do Bordeaux pociąg przybył wczesnym rankiem. Ponieważ dalszą drogę miała odbyć salonka w składzie pociągu Sud-Express, łączącym Paryż z Madrytem i Lizboną, trzeba było czekać aż do godziny 6-ej wieczorem. Około godziny dziesiątej, gdy Marszałek ubrał się już i zjadł śniadanie, przybył na stację dowódca okręgu korpusu z kilkunastu wyższymi oficerami. Marszałek rozmawiał z nimi dłuższą chwilę, poczem udał się na miasto, wsiadł w ofiarowany mu przez wojskowość samochód i udał się na przejażdżkę, w czasie której zwiedził port.

Tymczasem władze francuskie, zorientowawszy się w możliwości niebezpieczeństwa, które mogłoby Marszałkowi Piłsudskiemu grozić w czasie podróży przez rewoltowaną Hiszpanję, oświadczyły naszemu poselstwu, że natychmiast oddają do dyspozycji Pana Marszałka okręt wojenny *Lynx*. Kapitan *Lynxu* otrzymał nawet polecenie przygotowania się do podróży na Maderę. Tak się złożyło, że przedtem jeszcze, zanim zdołano o tem Marszałkowi zameldować, znalazł się on w porcie Bordeaux, a oficer francuski, jadący z nim razem, przejeżdżając mimo *Lynx'u*, rzekł:

— Oto tutaj, panie Marszałku, stoi okręt, który ma pana Marszałka przewieźć na Maderę.

Niewątpliwie Komendant zdziwił się, słysząc to, gdyż, jak się wkrótce okazało, marszruty zmienić nie chciał i postanowił podróż kontynuować w myśl planu, powziętego w Warszawie.

Z Bordeaux pociąg wyruszył przed siódmą wieczorem, aby przez Biarritz i Anday przybyć o godzinie dziewiątej do Irun, stacji granicznej w Hiszpanji. Tutaj zameldował się Komendantowi w zastępstwie gubernatora, ran-

nego w czasie rozruchów, jakiś tęgi oficer, a ponadto poseł polski w Hiszpanji, minister Perłowski.

Od Irunu prowadzi szeroki tor kolejowy, gdyż Hiszpanie obecni, podobnie, jak Rosjanie dawni, hołdują zasadzie torów szerszych, aniżeli to jest przyjęte w Eu-



Przyjazd Marsz. Piłsudskiego na molo Cais de Areia
w porcie lizbońskim.

ropie. Z tego to powodu trzeba było zostawić salonkę polską i przenieść się do salonki hiszpańskiej, szerokotorowej, oddanej przez rząd madrycki do dyspozycji Marszałka.

Sud-Express przebiega Hiszpanję w nocy, aby dotrzeć do granicy portugalskiej około ósmej rano. Wprawdzie podczas nocy nie można było poczynić wielu spo-

strzeżeń, niemniej jednak stan oblężenia, ogłoszony przed kilku dniami, rzucał się wyraźnie w oczy. Mijane stacje były zupełnie puste. Nikt na nich nie wsiadał, ani nikt nie wysiadał. Po peronie krążyli tylko, oprócz służby kolejowej, żandarmi - karabinierzy, a nieliczni cywile mieli jakieś zastraszone i przygnębione miny. Już w Irun dowiedzieliśmy się, że rewolta republikańska została krwawo stłumiona i że główny jej inicjator, mjr. Ramon Franco, znany lotnik, umknął wraz z przyjaciółmi do Portugalji. Spokój wprawdzie panował, lecz był to spokój pełen tajemniczych odgłosów, dobywających się z głębokich podziemi, w których republikanie kuli wciąż nowy oręż do walki z monarchją.

Mijając miasteczka i wsie hiszpańskie, Marszałek Piłsudski zapewne nie kłopotał się zbyt ich losem, gdyż położył się spać o zwykłej godzinie i nie wstał wcześniej, aż dzień stał się już jasny.

Z ostatniej stacji hiszpańskiej Marszałek Piłsudski polecił ministrowi Perłowskiemu wysłać do hiszpańskiego premiera, generała Berenguera, następującą depezę: „Po doskonałej podróży przez terytorjum hiszpańskie, śpieszę podziękować rządowi J. Kr. Mości za miłe przyjęcie, którego doznałem“.

O godzinie dziewiątej rano, dnia 19 grudnia, Sud-Express stanął na pierwszej stacji portugalskiej, na której powitali Marszałka w imieniu pana prezydenta republiki Carmona'y.

Stacja kolejowa *Rossio*, położona w samym centrum Lizbony, była w dniu przybycia Marszałka Piłsudskiego osiłą, około której toczyły się rozmowy w całej stolicy.

Pod wieczór (pociąg przychodzi o g. 18 min. 42), ulice przed *Rossio* były zatłoczone ciekawymi, chcącymi ujrzeć „największego i najsławniejszego Polaka“, a jednocześnie pogromcą „straszliwych bolszewików“.

Liczne kordony policji, bez których stacja byłaby zupełnie odcięta dla normalnego ruchu, zaledwie były w stanie utrzymać ład i porządek.

Nielicznych Polaków lizbońskich oblegały grupy ciekawych, chcących dowiedzieć się różnych szczegółów o Polsce.

Tłum, jak każdy tłum, nie składał się z samych inteligentów, to też pytania, które padały naokoło, nie zawsze zdradzały znajomość stosunków w tak odległym kraju, jak Polska.

Słyszało się np. takie rozmowy:

— Któż to przyjeżdża?

— Marszałek Piłsudski.

— Piłsudski! A, to już wiem, to król Polski.

I zaraz odpowiedź, wygłoszona pewnym głosem:

— Sim senhor, król Polski.

Oprócz słów ludzi prostych, z których wiała jakaś instynktowna sympatja dla człowieka, o którym każdy wiedział, że kiedyś był działaczem robotniczym, a dzisiaj jest pierwszym obywatelem swej ojczyzny i jej wyswobodzicielem z pod jarzma obcej przemocy, słyszało się wokół rozmowy, znamionujące głębokie odczucie jego idei, i postępów.

Każdy zrozumie łatwo, że skoro przyjazd Marszałka Piłsudskiego wywołał tak wielkie zainteresowanie wśród publiczności, to musiał on odbić się stokrotnie głośniejszym echem wśród miejscowych przedstawicieli prasy.

Nic dziwnego też, że na peronie zjawił się tłum fotografów i dziennikarzy, przepychających się gorączkowo ku hiszpańskiemu rządowemu wagonowi salonowemu, którym niezwykle gość nadjeżdżał.

Z peronu rozległy się okrzyki polskie: „Niech żyje Marszałek!“, dochodzące ze zgromadzonej opodal grupy obywateli polskich, mieszkających stale w Lizbonie.

Pełne cztery dni męczącej podróży kolejowej niemal przez całą Europę, nie pozostawiły na Marszałku najmniejszego śladu. Przez dworzec szedł równie sprężystym i dziarskim krokiem, jakgdyby przyjechał z Belwederu do Mokotowa na rewję wojskową.

Następnego dnia Marszałek nie opuszczał hotelu aż do godziny 11.50, o której udał się samochodem do prezydenta republiki, gen. Carmona'y, do pałacu rządowego (*Palacio de Belem*) z wizytą. W pół godziny później odbyło się tamże śniadanie.

Palacio de Belem jest to niski, lecz rozległy gmach, położony przy dużym placu - ogrodzie wpobliżu rzeki Tag. W chwili przybycia Marszałka Piłsudskiego powiewała na jego wieży chorągiew prezydencka, oznaczająca, że głowa państwa znajduje się wewnątrz. Posterunki wojskowe pełniła gwardja w strojach galowych, na które składają się barwne, piękne mundury, oraz hełmy z końskimi ogonami i białe rękawiczki.

Po śniadaniu, w którym wzięło udział tylko nieliczne grono najwyższych dostojników państwowych, Marszałek udał się na krótką chwilę do hotelu, skąd około godziny 15.30 wyjechał do portu.

R O Z D Z I A Ł II.

OKRĘTEM PORTUGALSKIM PRZEZ ATLANTYK.

Dnia 20 grudnia o godzinie 14-ej minut 45 Marszałek Piłsudski przyjechał samochodem prezydenta Portugalji na molo lizbońskie, zwane *Cais de Areia*. Był ubrany w zwykły swój mundur marszałkowski i w maciejówkę. Na piersiach widniał krzyż *virtuti militari* i wysoki order portugalski *wieży i szpady*, wręczony mu przed godziną przez głowę państwa.

Na molo oczekiwała kompanja honorowa 7-go pułku strzelców z orkiestrą, oraz delegacja miejscowej kolonji polskiej. Marszałek odbył przegląd kompanji, poczem udał się wraz z kilkunastu dygnitarzami miejscowymi na pokład okrętu *Angola*, oczekującego przy molo.

W salonie okrętowym przyjął delegację polską, która wręczyła mu kwiaty i adres hołdowniczy.

Jeszcze przed podniesieniem kotwicy, Marszałek udał się do swojego apartamentu, oznaczonego numerem 28 i pozostał tam do końca tego dnia. Kolację kazał przynieść sobie do kajuty i spożył ją samotnie, bez żadnego towarzystwa.

Okręt, który wiozł Marszałka Piłsudskiego z Lizbony do Funchalu, stolicy wyspy Madery, nazywał się, jak już wspominałem, *Angola*. Jest to statek pasażersko-towarowy, odbywający stałe rejsy z Lizbony przez wyspę Maderę, wyspy Zielonego Przylądka, wzdłuż zachodniego wybrzeża Afryki do przylądka Dobrej Nadziei, poczem, opływając ten najdalej na południe wysunięty cypel czarnego lądu, wpływa na ocean Indyjski i zawija do Mozambiku. Po drodze odwiedza porty w Gwinei Portugalskiej, w Angoli, w kraju Przylądkowym i w szeregu innych krajów afrykańskich.

Jest to niewątpliwie jeden z lepszych okrętów portugalskich, niemniej jednak w porównaniu z wielkimi parowcami transatlantyckimi, łączącemi wybrzeża Europy i Ameryki, traci bardzo wiele. Prawdę mówiąc, jest to statek skromny, jednak, należy przyznać, czysty i starannie utrzymany. W szczególności z racji jazdy Marszałka Piłsudskiego, kapitan okrętu, który o tej jeździe wiedział już kilka dni wcześniej, kazał *Angole* porządnie wyszorować i w niektórych miejscach podmalować. Po zaaplikowaniu odpowiedniej ilości wody i farby, okręscisko nabrało wyglądu wcale przyzwoitego i od biedy mogło imponować wielu innym parowcom, nie goszczą-

cym na swych pokładach żadnej wysoko postawionej osobistości, a więc, jak to bywa z reguły we flocie portugalskiej, nieco zaniedbanym i brudnym.

Towarzystwo żeglugowe, którego jednostkę stanowi *Angola*, nazywa się *Companhia Nacional de Navegação*. Jest to przedsiębiorstwo o charakterze napółpaństwowym, jak u nas *Żegluga Polska*. Utrzymuje ono stałą komunikację pasażersko-towarową z kolonjami i wyspiarskimi prowincjami kraju.

Cała obsługa składała się z ludzi białych, w przeciwieństwie do obsługi np. wielu okrętów angielskich, kursujących między macierzą i kolonjami, będących zwykle mieszaniną przeróżnaitch ras i narodowości.

Angola posiadała cztery klasy: I, II, III lepszą i III. Marszałek Piłsudski jechał oczywiście klasą I. Do jego dyspozycji oddano cały apartamencik, złożony z sypialni, gabinetu i saloniku.

Pierwsza klasa zajmowała środek okrętu. Kajuty były rozmieszczone na trzech piętrach. Apartament Marszałka znajdował się na piętrze średnim. Klasa druga zajmowała wyniesiony nieco tył okrętu, trzecia zaś lepsza i trzecia — przód. Pokładów spacerowych dla pasażerów I klasy było cztery. Mierzyły po 85 kroków długości i 5 szerokości. Na okręcie znajdował się bar, salon bawialny i sala muzyki, gdzie przygrywała podczas obiadu i kolacji orkiestra, złożona z 6-ciu grajków. Z innych urządzeń należałoby jeszcze podkreślić istnienie radiostacji, będącej do dyspozycji pasażerów w dzień i w nocy.

Posiłki na *Angoli* wydawano pięć razy dziennie. Od g. 6-ej do 7-ej i pół można było żądać przyniesienia, do kajuty kawy, herbaty lub kakao z bułeczkami, względnie z biszkoptami; od 9-ej do 10-ej i pół podawano w jadalni okrętowej pierwsze śniadanie, złożone z zimnych mięs, wędlin, jaj i t. d., oraz z herbaty lub kawy; o godzi-

nie 13-ej jadło się tak zwane „śniadanie“, czyli to, co u nas nazywa się obiadem; o 17-ej podawano znowu herbatę lub kawę z ciasteczkami i, wreszcie, o g. 19-ej min. 30 otrzymywali pasażerowie „obiad“, czyli naszą kolację. „Drugie śniadanie“ i „obiad“ składały się



Marszałek Piłsudski z dr. Wojczyńskim na pokładzie okrętu „Angola” w drodze z Lizbony do Funchalu.

zwykle z 8 do 12 potraw, przyrządzonych na sposób francuski w portugalskiem wydaniu.

Zarówno *Angola*, jak i inne okręty, należące do *Companhia Nacional de Navegação* są par excellence statkami portugalskimi. Cudzoziemcy prawie wcale nie-
mi nie jeżdżą. Tem bardziej byli Portugalczycy radzi, że wybór Marszałka padł właśnie na ich, a nie na czyj inny okręt.

Ładunek *Angoli* w czasie podróży Marszałka obejmował cały szereg produktów. Najpokaźniejszą jego część stanowiło wino, oliwki, wyroby tekstylne, narzędzia rolnicze i benzyna. Wprawdzie ładunek wywozowy ma dla *Angoli* duże znaczenie, jednak „pracuje” ona głównie przywozem. Liczne produkty kolonialne, jak: kawa, kakao, kauczuk, olej palmowy, kopra, ryż i t. d., w które tak obfitują rozległe kolonie portugalskie w Afryce, wypełniają w czasie powrotu jej głębokie komory aż po sam pokład.

Kapitan *Angoli* był starym wygą morską, który na morzach nieomal całego globu strawił trzydzieści lat życia, i który już z bardzo wielu pieców chleb jadał. W barze okrętowym, przy kieliszku wermutu, pociągnąłem go nieco za język¹⁾. Opowiadał mi dużo o swoich podróżach i przygodach, aż wreszcie rozmowa zesłała na pasażerów.

Zapytałem go:

— Kapitanie, co pan powie o Marszałku Piłsudskim, który gościł na pańskim okręcie?

Kapitan zamyślił się.

— Wie pan co — rzekł po chwili — żałuję, że nie jest on moim rodakiem.

Pomimo tego, że w grudniu ocean u brzegów Europy jest zwykle dość burzliwy i fale kołysały *Angolą* nie na żarty, Marszałek nie uległ morskiej chorobie ani na chwilę.

Steward, który przynosił mu do kajuty jedzenie i pełnił zwykłe posługi, opowiadał, że Marszałek spędził cały pierwszy wieczór na czytaniu książek i że apetyt miał dobry.

— A jak pan, panie steward, z Marszałkiem rozmawiał?

¹⁾ W półtora miesiąca później.

— Jakto: „jak“?

— No, chyba nie po polsku.

— Oczywiście, że nie. Mówiliśmy po francusku.

Następny dzień podróży przyniósł wspaniałą pogodę. Błękit nieba i ciepłe słońce wywabiło z kajut wszystkich pasażerów. Przyciągająca siła tych elementów musiała oddziaływać również i na Marszałka, gdyż już około godziny 9-ej rano zjawił się na pokładzie i rozpoczął przechadzkę.

Pojawienie się jego wywołało zrozumiałą sensację wśród załogi i pasażerów okrętu, którzy zbiegli się ze wsząd, aby obejrzeć wielkiego Polaka.

Jednak nawet objawy zainteresowania, których Marszałek tak nie lubi, nie potrafiły pozbawić go dobrego humoru i wyrazu zadowolenia na twarzy.

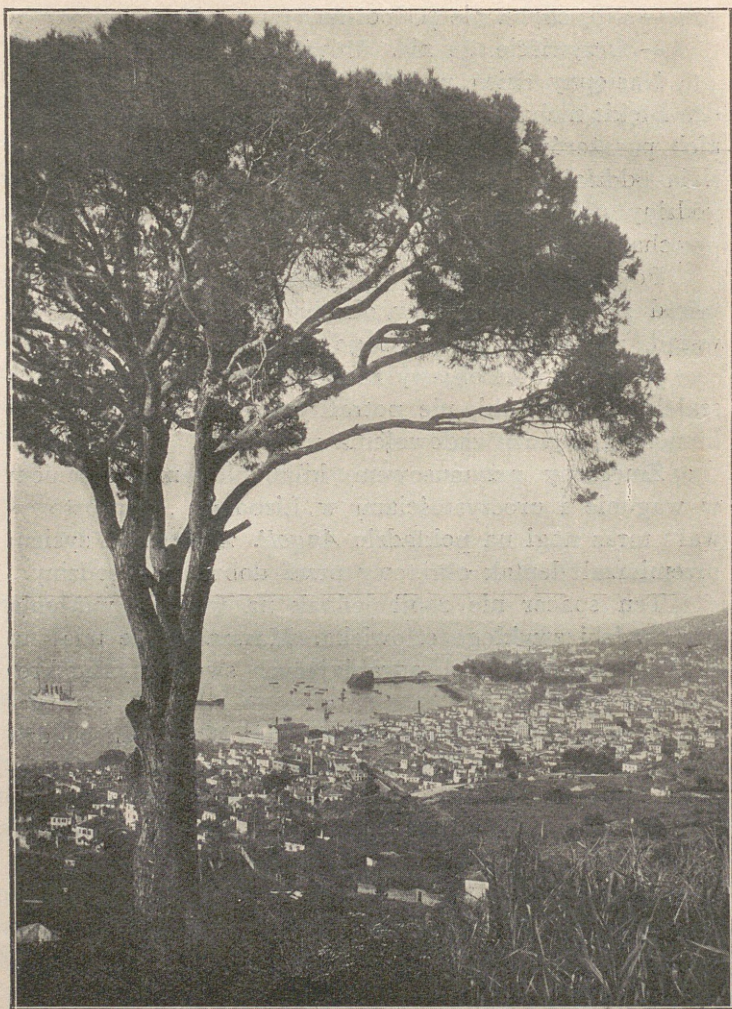
Zmęczony przymusowem, kilkudniowem siedzeniem w wagonie i uroczystościami w Lizbonie, „rozprostowywał“ teraz nogi na pokładzie *Angoli*. Z werwą i życiem przemierzał deptak okrętowy przez dobre trzy godziny.

Ten spacer nie robił jednak na widzach wrażenia przechadzki zwykłego człowieka. Marszałek nie miał na twarzy beztroski ludzi, odrabiających swoje „tysiąc kroków dla zdrowia“.

Przez cały czas podróży merskiej Marszałek chodził w mundurze siwym, bez orderów i nawet bez pasa. Jedyną ozdobą jego stroju był metalowy, biały orzełek na maciejówce. Dopiero w chwili wysiadania w Funchalu ukazał się na pokładzie w mundurze, w którym zwykł wychodzić na oficjalne przyjęcia.

Podobnie jak w pierwszym dniu podróży, również w następnym kazał sobie przynieść obiad i kolację do kajuty.

Wieczorem, podróżni, jadący *Angolą*, mogli obserwować Marszałka Piłsudskiego, stojącego na górnym pokładzie i wpatrującego się w mrok nocny. Podparł się



Widok na Funchal i zatokę.

rękami o burtę i, jak zwykle, samotny i milczący — marzył. Z jego poważnej, chmurnej twarzy na pewno nikt nie wyczytał — o czym. Może myślał o dwu drobnych istotkach, które, żegnając go, płakały rzewnie... Próżne domysły! Pasażerowie nie mącili mu tych rozmyślań. Odeszli na bok i mówili szeptem. Instynktem odczuwali, że temu człowiekowi przeszkadzać nie można.

W nocy zerwał się wiatr i rzucał naszą łupiną na wszystkie strony. Marszałkowi nie przeszkadzało to jednak zupełnie. Nie zrobił ani razu użytku z dzwonka, przy którym czuwał steward. Nie potrzebował niczego. Spał tak dobrze, jak w pałacu belwederskim.

Następnego ranka kończyła się już podróż morską. Około godziny 9-ej zawarczał łańcuch kotwiczny i *Angola* stanęła. W jednej chwili otoczył ją rój drobnych łódeczek z przekupniami owoców południowych i osobliwości miejscowych, jak koronki, wyroby koszykarskie i t. d. Pokazali się też natychmiast mali, nadzy chłopcy, proszący natarczywie o rzucenie w morze drobnej monety, za którą skakali do wody, jak jakieś ziemnowodne zwierzątka i chwyтали wcześniej, aniżeli zdążyła się pogрузić choćby na kilka metrów.

Właśnie „rzemiosło“ chłopaczków kwitło w najlepsze, gdy ukazał się na pokładzie Marszałek Piłsudski.

Wychylił się przez burtę i ciekawie obserwował niezwykłą zręczność dzieci. Marszałek dzieci lubi, przyglądałby się im zapewne dłużej, ale do okrętu przybiła motorówka z flagą urzędową, a z niej wysiadł przedstawiciel gubernatora.

— W imieniu gubernatora cywilnego i wojskowego Madery, mam zaszczyt wyrazić radość z przybycia Waszej Ekszelencji na naszą wyspę.

Temi słowami zwrócił się przybyły do Marszałka Piłsudskiego. Był to kapitan Edward dos Santos Pe-



reira, delegat najwyższego przedstawiciela władzy na Madrze.

Bez długich rozmów Marszałek wsiadł do urzędowej motorówki, noszącej nazwę *Gago Coutinho* i po kilku minutach jazdy wysiadł na ląd.

Poczuwszy pod sobą stały grunt, Marszałek wsparł się mocno na nogach i uśmiechnął się, jakgdyby był rad, że jazda morska już się skończyła.

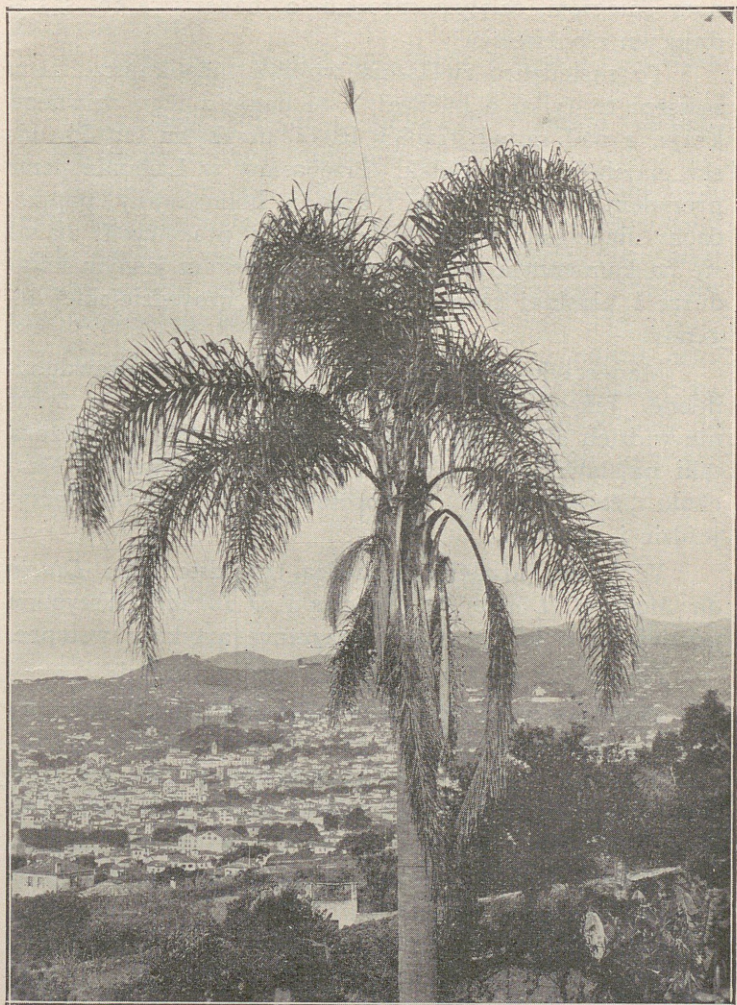
— Dziękuję panu — rzekł do kapitana Edwarda dos Santos Pereira i wsiadł do automobilu, który odwiózł go do willi, wybranej na rezydencję już uprzednio. Wraz z nim udał się dr. płk. Woyczyński.

W kilka chwil później pewien portugalski artysta-rysownik, przybyły z Lizbony do Funchalu wraz z Marszałkiem tą samą *Angolą*, pokazywał jego podobiznę, którą naszkicował na okręcie z natury, pytając, czy podobna. Pomimo kategorycznych zapewnień, że może ona przypominać każdego, tylko nie Marszałka, sprzedął rysunek miejscowemu pismu *Diario da Madeira*, które wydrukowało go oczywiście bardzo skwapliwie.

Mieszkańcy wyspy Madery są przyzwyczajeni do różnych niezwyklej gości. Funchal stanowi jedno z najmodniejszych zimowisk angielskich i gdyby nie konkurencja wysp Bermudzkich i Kanaryjskich, byłby niewątpliwie jedyną miejscowością, gdzie Europejczyk może bez odbycia nazbyt długiej podróży spędzić przyjemnie gruzień i styczeń.

Nic dziwnego też, że każdego roku przyjeżdża tu tysiące najpoważniejszych polityków, literatów, milionerów, a nawet głów koronowanych. Jednak przyjazd Marszałka Piłsudskiego zrobił na Maderczykach, znudzonych różnemi wizytami, wrażenie bardzo duże.

O Polsce wiedzą tutaj niewiele. Wydaje się ona jakimś Hyperborejami, jakimś krajem odległym, zawi-



Widok na Funchal ze strony lądu.

nym śniegiem, ściętym mrozem, a, nadewszystko, sąsiadującym z bolszewją.

To sąsiedztwo zwłaszcza wpływa niepokojąco. Hm, zawsze to tylko o miedzę! I tu nagle z tego dziwnego kraju, z nad samej granicy Rosji, przybywa ten Piłsudski, najślawniejszy Polak. Przepasany w Lizbonie przez prezydenta wstęgą *wieży i szpady*, honorowany, poprzedzony depeszami wszystkich agencji prasowych, zjawił się na kamiennem molu Funchalu w swoim jasnym mundurze i płaskiej czapce, jak postać z czarodziejskiej legendy.

Maderczykom wydało się to dziwne i nieprawdopodobne. Jakto, oni przecież bodaj jeszcze nigdy w życiu nie widzieli ani jednego Polaka, a tu właśnie przyjeżdża taki najślawniejszy. Nic też dziwnego, że prasa w Funchalu „zatrzęsa się“ od opisów o jego osobie, przyjeździe i pobycie.

W stolicy Madery wychodzą trzy dzienniki: *Diario da Madeira*, *Diario de Noticias* i *O Jornal*. Wszystkie pomieściły o tem ważnem zdarzeniu artykuły wstępne.

Diario de Madeira napisał między innemi:

„Wódz w rewolucjach, wódz w wojnach, leader polityczny, który w poszukiwaniu słońca, brakującego mu w mrocznej i zimnej Polsce, przybył na Madere, jest postacią, którą promienie wielkiej wojny rzuciły na arenę polityki europejskiej“.

Diario de Noticias tak tłumaczył przybycie Marszałka Piłsudskiego do Funchalu:

„Wybory, odbyte w Polsce przed niedawnym czasem, stały się wielkim triumfem Marszałka Piłsudskiego, który rozporządza obecnie w parlamencie większością tak znaczną, że jest ona w stanie odeprzeć każdy atak opozycji. Spełniwszy swój obowiązek, ten świetny wojskowy postanowił dać sobie kilka miesięcy wytchnienia, wybierając

jąc w tym celu Maderę, jako miejsce najodpowiedniejsze dla wypoczynku“.

O Jornal w wydaniu porannem z dnia 23 grudnia napisał:

„Marszałek Piłsudski zachował, pomimo swoich 62 lat wieku, energję młodzieńczą“.

W dniu przyjazdu Marszałka Piłsudskiego do Funchalu pogoda była prześliczna. Słońce świeciło jasno i tak wesoło, jakgdyby nigdzie na świecie nie padał w tym samym czasie śnieg i pod nogami nie chlupało napółzmarznięte błoto.

Nigdy nie można być pewnym tego, co drugi człowiek czuje i co piastuje w sercu, jednak, patrząc na twarz Marszałka Piłsudskiego, gdy odjeżdżał z mola do swej willi, wystawiając plecy na słońce, domyślałem się, że przepełniała go radość.

R O Z D Z I A Ł III.

OPIS WYSPY MADERY.

Archipelag Madery składa się z pięciu wysp. Są to: Madera, Porto Santo, Deserta Grande, Bugio i Chão. Trzy ostatnie są dotychczas bezludne, ponieważ brak źródeł uniemożliwia tam pobyt ludzi na stałe. Ponadto, do archipelagu zalicza się również grupę wysepek bezludnych Selvagens, leżących na drodze do wysp Kanaryjskich.

Madera obejmuje 750 km kwadratowych (archipelag — 815 km kw) powierzchni i liczy około 200 tysięcy mieszkańców. Stanowi prowincję portugalską i jest rządzona w ten sposób, jak wszystkie prowincje kontynentalne tej republiki. Leży na oceanie Atlantyckim w odległości 515 kilometrów od przylądka Juby

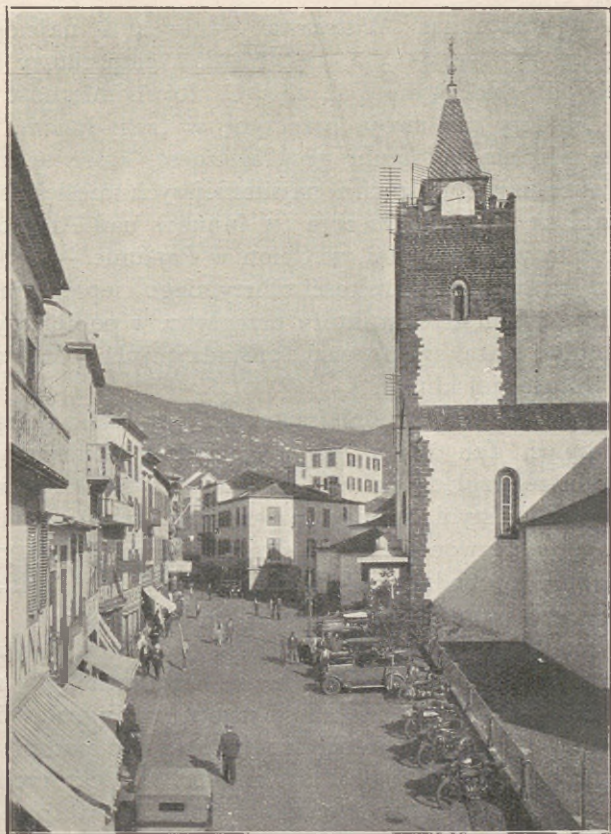
w Afryce i 443 km od Teneryfy, jednej z wysp Kanaryjskich. Największa jej długość wynosi 55 kilometrów, największa szerokość — 24 km.

Istnienie swoje zawdzięcza Madera działalności szeregu wulkanów, dzisiaj już wygasłych. Uczeń twierdzą, że w okresie trzeciorzędowym Madera stanowiła wespół z Islandją, wyspami Azorskimi, wyspami Kanaryjskimi i Zielonego Przylądka łąd stały, który łączył Europę z Afryką, a prawdopodobnie i z Ameryką. Przypuszczalnie była to owa legendarna ziemia, którą Platon nazywał Atlantis.

Madera przedstawia się jako jeden olbrzymi zwał gór, wznoszących się ku wnętrzu wyspy i sięgających w najwyższym miejscu (Pico Ruivo) 1873 metrów. Góry te w miejscach wyżej położonych są skaliste i niemal zupełnie pozbawione roślinności. Przy zetknięciu z morzem niema wcale plaż piaszczystych, które tak upiększają brzegi Bałtyku w Polsce. Na ich miejscu widnieją bądź gromady porozbijanych i postrzępionych skał bazaltowych, bądź też rozległe pola, pokryte warstwą otoczków. To sprawia, że kąpiel morska u brzegów Madery nie przedstawia ani części tego uroku, jaki posiada na przykład na Jasnym Brzegu we Francji, czy też na Helu u nas.

Klimat Madery jest jednym z najzdrowszych i z najprzyjemniejszych klimatów świata. Jego cechą charakterystyczną jest łagodność i równomierność. Na wyspie są nieznane nazbyt uciążliwe upały, jak również i chłody.

Przeciętna temperatura roczna wynosi $+18,8^{\circ}\text{C}$. (Warszawa posiada przeciętną roczną $+7,3^{\circ}\text{C}$, Nicea $+15^{\circ}\text{C}$). Średnia roczna temperatury najwyższej wynosi $+28,7^{\circ}$, najniższej zaś $+10^{\circ}$. W Funchalu i wszystkich niższych okolicach wyspy termometr nie opada poniżej $+10^{\circ}\text{C}$. Różnica temperatur dnia i nocy jest nieznaczna i waha się między 3 i 5°C . Również różnica



Główna ulica Funchalu. Na prawo katedra.

temperatur poszczególnych pór roku jest bardzo mała. Przeciętna ciepłota miesiąca najcieplejszego (lipiec) wynosi $+22,7^{\circ}\text{C}$, podczas gdy przeciętna miesiąca najzimniejszego (luty) różni się tylko o $6,8^{\circ}\text{C}$ i wynosi $+15,9^{\circ}\text{C}$. Dla uwypuklenia tej cechy przytoczę te same dane odnośnie Polski. Otóż przeciętna ciepłota miesiąca najzimniej-

szego wynosi u nas (Warszawa) — $-3,4^{\circ}\text{C}$, najcieplejszego zaś — $+18,8^{\circ}\text{C}$, a więc różnica temperatury tych dwóch pór roku wynosi aż $22,2^{\circ}\text{C}$. Równomierność klimatu Madery ma swoją przyczynę w czem innem, aniżeli w niskiem położeniu geograficznem, które sprawia, że różnice najcieplejszych i najzimniejszych miesięcy sprowadzają się nieomal do zera (w Manaos nad Amazonką różnica ta wynosi $1,5^{\circ}\text{C}$, w Colon w Panamie — $0,5^{\circ}\text{C}$). Przyczyna ta tkwi w bliskości olbrzymiego ciepłego prądu morskiego Gólsztremu, który przepływa w pobliżu wyspy i reguluje masą swych wód, posiadających jednostajną temperaturę, jej klimat.

Miesiącem najchłodniejszym jest luty, zaś najcieplejszym lipiec. Ten ostatni jest jednocześnie najmniej przyjemnym ze względu na wiejące wówczas gorące i suche wiatry od pustyni Sahary, przynoszące mnóstwo drobiutkiego, czerwonego pyłu, który przysłania horyzont i utrudnia swobodne oddychanie. Wiatry wieją ponadto i w innych porach roku, głównie ze wschodu.

Opady atmosferyczne wynoszą 740 mm rocznie. W tym samym okresie spada w Warszawie 570 mm, w Nicei — 860 mm, zaś w Crkwica w Jugosławji — 4640 mm. Aż do wysokości 800 metrów nad poziom morza śnieg nie pada nigdy. W górach, w niektórych latach, pada. Dni deszczowych w roku bywa przeciętnie 80. Do miesięcy najwilgotniejszych należą: listopad, grudzień, styczeń i luty. Pomimo „znacznej“ wilgotności tych miesięcy zaobserwowałem w czasie swego pobytu na wyspie, że między 18 stycznia i 5 marca nie spadła ani kropla deszczu i że nie było ani jednego dnia, w którym nie widniałoby słońce.

Klimat ten jest bardzo zdrowy. Równomierność i stała łagodność predystynuje go w szczególności dla ludzi, cierpiących na choroby przewodu oddechowego, aczkolwiek silne wiatry i stosunkowo znaczna wilgotność po-

wietrza zalety te w znacznym stopniu neutralizują. W każdym razie, człowiek z zagrożeniami płucami będzie się tutaj czuł doskonale. Słońce i wielka czystość powietrza, zakłócana jedynie w lecie pyłem, przynoszonym przez wiatr wschodni z Sahary, sprawia, że każde stworzenie boskie czuje się na Maderze lepiej, aniżeli w kraju pochmurnym i smutnym. Człowiek pragnący wypoczynku, przepracowany, zdenerwowany — znajdzie na wyspie niewątpliwie spokój, a nerwy jego — ukojenie. Gruźlicy wstęp do pensjonatów mają wzbroniony. Najpospolitszymi gośćmi na Maderze są właściwie nie chorzy, a tylko wymagający odpoczynku, bądź też ludzie starsi, spragnieni słońca, które świeci i grzeje na wyspie zarówno w lecie, jak i w zimie.

Rzek większych na wyspie niema. Istnieją jedynie strumienie, które jednak porzeźbiły wydatnie ląd, nadając mu znamienny charakter górski. Wszystkie strumienie w pobliżu Funchalu są ujęte w specjalne łożyska i woda ich służy do nawodniania pól, plantacyj i ogrodów. To odebranie strumieniom ich sił żywotnych sprawiło, że przez znaczną część roku są one w dolnym biegu zupełnie suche.

Jezior na wyspie niema.

Wody strumieni są ubogie w ryby. Do najpospolitszej, a prztem bodaj jedynej ich mieszkanki należy ryba aal.

Flora wyspy nosi charakter południowo-europejski. Człowiek wprowadził tutaj szereg roślin uprawnych, właściwych strefie tropikalnej. W czasach przed odkryciem, wyspę pokrywały olbrzymie lasy. Bezmyślna gospodarka drzewna spowodowała, że jest ona dzisiaj nieomal bezleśna. Resztki zachowały się na północnej stronie wyspy, zaludnionej stosunkowo słabo.

W ogrodach spotyka się szereg odmian palm, pomarańcze, cytryny, banany, drzewa smocze (rzadko), ma-

gnolje, laury, platany, mangi, tamaryszki, figowce, araukarje, pinje (*Pinus Pinaster*) i wiele innych, spotykanych w stanie dzikim w Afryce i Ameryce.

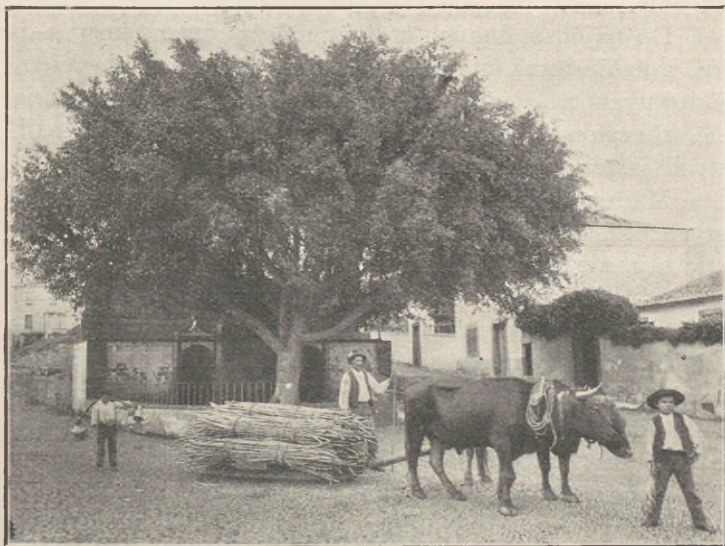
Roślinność Madery odznacza się bujnością, aczkolwiek w zestawieniu z roślinnością strefy równikowej nie wytrzymuje porównania. Dzięki równomiernemu klimatowi, o którym pisałem wyżej, poszczególne rośliny importowane zachowały właściwy swemu naturalnemu rozsiedleniu geograficznemu okres kwitnięcia, dojrzewania owoców i ewentualnie utraty liści. I tak na przykład, gdy rośliny, sprowadzone z półkuli południowej kwitną w grudniu i styczniu, to znowu południowo-europejskie wchodzą w ten okres w maju, jeszcze inne — w jeszcze innych terminach. Banan dojrzewa w styczniu — lutym, to znaczy w tym samym czasie, gdy dąb korkowy jest pozbawiony zupełnie liści, a azalje okryte są kwiatami. Ta cecha klimatu sprawia, że wygląd zewnętrzny roślinności Madery jest w czasie całego roku upodobniony naogół do okresu letniego. Odbiera to wprawdzie krajobrazowi piękne chwile pełnego rozkwitu wiosennego przyrody, lecz z drugiej strony — nie narzuca mu smutnych tonów jesiennych, czy też zimowych.

Z roślin użytkowych, plantowanych dla celów eksploatacyjnych, do najważniejszych należą: banan, trzcina cukrowa i winna latorośl. Kultura pomarańcz i cytryn, dawniej bardzo rozwinięta, dzisiaj znajduje się w zaniku, gdyż jest ona mniej korzystna od uprawy roślin, wymienionych wyżej. Winna latorośl, sprowadzona tutaj w roku 1452, a więc już w 33 lata po odkryciu wyspy przez Portugalczyków, dostarcza wina o światowej sławie. „Madera“, jako napitek, jest znana powszechnie również i w Polsce. W roku 1930 wyeksportowano z wyspy zagranicę 441.809 decylitrów.

Uprawa bananów na eksport jest znacznie młodsza i datuje się dopiero od kilku dziesiątków lat. Wchodzi

ona obecnie w okres swego rozkwitu. Plantacje tego krzewu pokrywają gęstą siecią cały południowy brzeg wyspy, na którym szczególnie dobrze udają się. Na wysokościach ponad 300 metrów banan na Maderze już nie wydaje owoców.

Trzcina cukrowa, uprawiana też na południowym,



Zwózka trzciny cukrowej.

cieplejszym brzegu, służy głównie do przerabiania na wódkę. Istnieje też kilka cukrowni, które wyrabiają z niej cukier, konsumowany w znakomitej większości na miejscu.

Fauna wyspy jest uboga. Jedyne, właściwe jej ssakami jest parę odmian nietoperzy, oraz psy morskie, zamieszkujące do dzisiaj nadbrzeżne jaskinie na Desercie, Bugio i Chão. Wszystkie inne ssaki zostały tutaj

sprowadzone przez człowieka w okresie panowania portugalskiego. Do szczególnie zadomowionych należą kozy i króliki, które żyją obecnie w stanie dzikim na wyspach bezludnych. W górach znajdujemy spore stada owiec i bydła rogatego, hodowanych przez wieśniaków. Również koń, osioł, muł, pies, świnia i ptactwo domowe, znane w Europie, zaaklimatyzowały się na Maderze doskonale.

Do najpospolitszych ptaków należą: czarne kosa, dzikie gołębie, oraz niewielkie, zielonkawe kanarki. Węży jadowitych na wyspie niema. Bardzo rzadko spotykają się skorpiony. Istnieje natomiast mnóstwo nieszkodliwych jaszczurek, mrówek i motyli.

Maderę zamieszkują Portugalczycy, zmieszani w niższych warstwach z Maurami i Włochami. Jako typ przedstawiają się niezbyt okazale. Są naogół wzrostu niskiego, szczupli, śniadzi na twarzy i kruczowłosi. Język ich posiada swój specjalny akcent, różniący go nieznacznie od języka, używanego na kontynencie. Kobiety są naogół wątłe i przeciętnej urody. Dzięki zakazowi importowania niewolników - murzynów, wydanemu w roku 1775, ludność wyspy zachowała swój charakter „biały“, co nie udało się uzyskać w znacznej części Brazylii, ani na wyspach Zielonego Przylądka, gdzie zakaz taki nie istniał.

Oprócz ludności tubylczej, mieszka na Maderze pewna ilość rentjerów angielskich, którzy pokupowali sobie tutaj wille z ogrodami i spędzają w nich czas beczynnie. Oprócz nich, mieszka też w Funchalu kilkuset urzędników i kupców angielskich, posiadających swoje domy handlowe, biura, hotele, plantacje winnej latorośli, przedstawicielstwa linii okrętowych, składy węgla i t. d.

Z innych narodowości należy wymienić jeszcze kilkadziesiąt rodzin niemieckich, które ujęły w swoje ręce niemal całe pośrednictwo w handlu koronkami i haftami, z wyrobu których wyspa słynie na całym świecie.

Polaków na Maderze niema zupełnie.

Obok cudzoziemskiej ludności stałej mieszka na wyspie, a właściwie w Funchalu i jego okolicach, jeszcze mnóstwo kuracjusów, przybyłych na pewien czas. Ich liczba wynosi przeciętnie 2 — 3 tysiące, podnosząc się znacznie w miesiącach zimowych i spadając w letnich. Przybyszami są w znakomitej większości Anglo-Sasi, rzadko Niemcy i Francuzi. Nadają oni stolicy wyspy charakter napółangielski. Z ich to przyczyny większość szyldów nad sklepami posiada obok portugalskich — napisy angielskie, gazety wprowadziły *English section*, szoferzy pouczali się najrozmaitszych zwrotów angielskich, a właściciele hotelów, sklepów, kawiarni i t. d. poczęli przyjmować do składu swego personelu tylko osoby, władające językiem wyspiarzy brytyjskich. Angielszczyzna na Maderze jest jednak bardzo powierzchowna. Pomimo tego, że wszędzie w Funchalu można rozmówić się językiem królowej Wiktorji, to jednak ilość cudzoziemców na całej wyspie nie przekracza 5%, a więc jest tak nieznaczna, że gdyby nie ich bardzo duża zamożność, nie posiadałaby wogóle żadnego znaczenia.

Istnieją pewne ślady, że o istnieniu Madery wiedzano już w starożytności. Znajdowane monety na wyspach Azorskich wykazują, że tę część oceanu odwiedzali już Fenicjanie. Na jednej z map, wydanych w roku 1371 we Florencji, widnieje Madera pod nazwą *Isola di Legname*, co wskazuje, że już w wieku XIV Europa posiadała o niej pewne wskazówki. Właściwe jednak odkrycie datuje się z roku 1419, gdy dwóch rycerzy portugalskich João Gonçalves Zarco i Tristão Vaz Teixeira, udający się na poszukiwanie nowych, nieznanych ziem, zostali zapędzeni burzą do brzegów Porto Santo, jednej z wysp archipelagu Madery. Rycerze ci powrócili do Portugalji i opowiedziawszy królowi o swem odkryciu, uzyskali pozwolenie

na zabranie osadników i zaludnienie nowych posiadłości korony. W czasie przygotowań zdarzył się im na Porto Santo nieco dziwny przypadek. Oto pozostawione kilkanaście par królików rozmnożyły się w przeciągu niespełna półtora roku, które dzieliło odkrycie wyspy od ponownego przybycia ich odkrywców, w sposób tak niebywały, że potrafiły przemienić piękną, zieloną wyspę w prawdziwą pustynię. Wobec tego przybyli w roku 1420 osadnicy byli zmuszeni udać się dalej, na drugą wyspę, która dzisiaj nosi nazwę Madery, i na niej założyli pierwsze osiedle. Król portugalski podzielił później nowy kraj na dwa lenna, z których jedno, obejmujące południowo-zachodnią część wyspy, ze stolicą w Funchalu, oddał we władanie João Gonçalves Zarco'wi, zaś drugie, obejmujące południowo-wschodnią część ze stolicą w Machico przeznaczył dla Tristão Vaz Teixeira'y.

Zaludnienie Madery postępowało szybko. Już pod koniec roku 1420 wynosiło ono 150 głów, wzrastając stale aż do czasów ostatnich. W roku 1508 został Funchal miastem, a w sześć lat później papież ufundował tam biskupstwo. Rok 1566 zapisał się w kronikach stolicy wyspy czarnymi zgłoskami. Napadli wówczas na nią francuscy rozbójnicy morscy, zrabowali ją i zniszczyli. W samym Funchalu mieli wówczas wymordować około dwustu osób.

W latach 1580 do 1640 Madera znajdowała się wraz z całą Portugalją pod panowaniem Hiszpanji. Jeszcze do dnia dzisiejszego sterczą w środku Funchalu ponure mury obronnej cytadeli, zbudowanej przez najeźdźców w celu utrzymania w karchach buntującej się ludności.

Później, w wieku XIX, jeszcze dwukrotnie Madera widziała obce znaki na swojej ziemi. Okupowali ją raz, na krótko, w roku 1801, a później na dłużej, od roku

1807 do 1814 — Anglicy. Od tego czasu żaden obcy nie kusił się już o zdobycie wyspy¹⁾.

Od roku 1902 Madera przestała być traktowana jako kolonia. Została ona wówczas uznana za zwykłą



Oryginalna dorożka.

jednostkę administracyjną, na jakie dzieli się Portugalia kontynentalna. Na jej czele stoi zarządca z tytułem gubernatora. Funchal, jak również inne miasteczka wyspy, posiada samorząd.

¹⁾ W latach 1915 — 1916 buszowały u brzegów Madery niemieckie wojenne statki korsarskie. Działalność łodzi podwodnych tuż w pobliżu Funchalu wywoływała swojego czasu na wyspie olbrzymie przeciw Niemcom oburzenie.

Siła zbrojna jest reprezentowana przez nieznaczny oddział 13-go pułku piechoty i jedną baterję armat polowych.

ROZDZIAŁ IV.

FUNCHAL.

Stolicą wyspy Madery i jej jedynem większem miastem jest Funchal. Ma on teraz, rzekomo, 45 tysięcy mieszkańców. Piszę *rzekomo*, ponieważ nie ufam zbyt statystykom portugalskim. Dałbym temu Funchalowi najwyżej połowę tej liczby. Ale to nie gra roli. Jest to miasteczko jedyne w swoim rodzaju. Tę cechę „jedyności“ nadaje mu — bruk. Wszystkie jego ulice są wyłożone drobnymi kamieniami, otoczkami, zbieraniami nad morzem. Bruk z tych kamyczków tworzy powierzchnię oczywiście chropowatą, ale jednocześnie tak śliską, że z największem powodzeniem można jeździć po nim sankami. I oto w tym dziwnym kraju, gdzie śnieg jest mitem, w który nie wszyscy mieszkańcy wierzą, sanki są pojazdem powszechnie używanym. Na małych, do których zapręga się osiołka, wożą Maderczycy warzywa, owoce i wodę; na dużych, zaprzęgniętych w dwa woiki, lub też skromne krowy — przejeżdżali się dawniej poważni patrycjusze wyspiarscy, dzisiaj jeżdżą nimi jedynie żądni „niezwykłych“ sensacyj turyści angielscy.

Oprócz tych dziwnych środków lokomocji zachowały się na Maderze jeszcze inne, nie mniej przedpłowe. Są to lektyki. Używa się ich do wycieczek w góry, gdzie nie przejdzie już ani wół, ani krowa, ale gdzie może przejść człowiek. Jest to rodzaj hamaku. „Gość“ kładzie się w nim wygodnie, a dwóch białych niewolników opiera sobie o barki potężny drąg, na którym cały „interes“ wisi, i, pośpiewując, rusza w drogę.

Pomimo nawału różnych prymitywnych wehikułów, na wyspie roi się również od samochodów. Jest ich tutaj stanowczo za dużo. Gdy się zważy, że długość całej wyspy wynosi zaledwie 55 kilometrów, a szerokość około 24-ech, to mimowoli narzuca się myśl, że wystarczyłyby tutaj jak najzupełniej lektyki i pojazdy ciągnięte przez bydło rogate. I niewątpliwie wystarczyłyby, gdyby... znowu nie turyści angielscy. Oni oprócz tego, że muszą fotografować się w pojazdach-sankach, chcą jeździć także samochodami. Dla nich to główny plac w Funchalu jest przepełniony dziesiątkami wspaniałych taksówek, które, nawiasem mówiąc, nie posiadają taksometrów.

Nietylko jednak turyści stali stanowią tłum, zwiedzający wyspę. Pomnażają go znakomicie pasażerowie setek okrętów, które w drodze do Afryki lub Ameryki Południowej, względnie podczas powrotu stamtąd, zatrzymują się w Funchalu. Oni to, udając się na kilkugodzinny pobyt na ląd, zostawiają również mnóstwo pieniędzy w sklepach, restauracjach, cukierniach i w rękach właścicieli dorożek samochodowych, bydlęcych i oślich. Jeżeli są to Anglicy, to z reguły fotografują się w pojazdach krowich, jeśli Niemcy — siadają przy kuflu dobrego piwa, jeżeli południowi Amerykanie — nabywają piękne hafty, koronki i wyroby ze srebra, produkt miejscowej wytwórczości domowej.

Turystami żyje Funchal, reszta Madery — winną latoroślą. Wielkie połacie wyspy pokrywają szczelnie nieprzejrzone pola winne. Olbrzymie grona, niewidzianej w innych stronach wielkości, dojrzewają tutaj z tak niewinną i pospolitą miną, jakgdyby były pietruszką, lub dynią.

Każdy przejezdny zaopatruje się „na drogę“ w butelczynę świetnego i niedrogiego napitku, tłoczonego z tej błogosławionej rośliny. O ile jest to Amerykanin, bierze z reguły tych butelek sześć, albo nawet i dwanaście...

Pisać o jakimś kraju, a nie wspomnieć o kobietach, uważałbym sobie za ujmę. Jak wszędzie, jest tych kobiet na Maderze niemało. Ale, w przeciwieństwie do innych krajów, w miejscach publicznych widać ich tam bardzo niewiele. Wschodni obyczaj, nakazujący trzymać kobiety w domu, przechował się do dnia dzisiejszego w Portugalji, a więc i na wyspie Maderze, w formach mało zmienionych od czasów arabskich. Można przejść w Funchalu pięć ulic, dziesięć kawiarni i dwadzieścia innych miejsc publicznych, a nie spotka się kobiety. Tylko rano, podczas codziennych zakupów, i wieczorem, w kinie, można je dostrzec. Bóg z nimi! Nie będę ich emancypował, skoro tego nie czynią same. Odradziłem to nawet pewnej Angielce, żonie pastora kościoła prezbiterjańskiego, która chciała z tego zajęcia zrobić sobie cel życia. Zresztą, na co brzydkim kobietom emancypacja? A kobiety z wyspy Madery rzadko grzeszą urodą. Drobne, skrzywione, anemiczne, wątłe, blade, umalowane, niezgrabne i nieruchawe. Takie są i niema na to rady. Czy im potrzebna emancypacja? Niech siedzą nadal w zamkniętych szczelnie *quinta'ch* i, po staremu, niech łypią zaropiałemi oczami z poza zielonych, zapuszczonych żaluzji, na przechodzących mężczyzn.

O ile mało gdzie widać w Funchalu kobietę, o tyle widok mężczyzn, zwłaszcza mężczyzn próżnującego, jest tam nader pospolity. Wystają oni tłumnie przez cały boży dzień na wszystkich rogach ulic, prowadząc między sobą swobodne, głośnie gawędy. Pełno ich we wszystkich cukierniach, ogrodach publicznych i wogóle na każdym miejscu. Włóczą się całemi gromadami, pilnie oglądając się za przechodzącemi Angielkami, które patrzą na nich z podobną ciekawością, z jaką obserwują dziwaczne sanki, zaprzęgnięte w woły. W przeciwieństwie do kobiet, są dość przystojni, żywi i zgrabni. Ubierają się staran-

nie i starannie gołą. Poradziłem owej żonie pastora, aby zajęła się zbawieniem ich dusz... Obraziła się na mnie.

Funchal jest przystosowany już od lat wielu do przyjmowania znacznej ilości turystów i letników. Posiada cały szereg hotelów i pensjonatów, zdolnych pomieścić nieomal każdą ilość przyjezdnych, jaką okręty przywiozą.



Willa *Quinta Bettencourt*, w której mieszkał Marsz. Piłsudski.

Oczywiście, dzielą się te hotele na wiele kategorii. Obok wspaniałych pałaców, przeznaczonych dla najbogatszych ludzi świata, istnieje mnóstwo „średniaków“, w których utrzymanie jest stosunkowo do otrzymywanych wygód niedrogie.

Do najelegantszych, a co za tem idzie, do najkosztowniejszych należą: Reids Palace, Monte Palace i Bel-

monte. Ceny w nich zaczynają się dopiero od 60 złotych dziennie, a kończą na granicy miesięcznej pensji polskiego kapitana.

Na luksus mieszkania w takim hotelu, a zwłaszcza mieszkania przez czas dłuższy, mogą sobie pozwolić tylko angielscy lordowie, amerykańscy bankierzy i... członkowie sowieckich misyj handlowych, którzy od czasu do czasu zjawiają się tutaj, budząc zrozumiałą sensację zarówno wśród gości, jak i w samym mieście.

Drugą grupę stanowią hotele i pensjonaty skromniejsze, jednak urządzone według wymagań nowoczesnych, posiadające własne obszerne ogrody, salony i t. d. Takich jest kilkanaście.

Do najlepszych z pośród nich można zaliczyć: Savoy, Bella Vista, Novo Inglez, Quinta Esperanza. Pokój wraz z utrzymaniem kosztuje w nich około 50 złotych dziennie.

I w tych zakładach króluje prawie niepodzielnie żywioł anglo-saski, co zmusza zarządy do utrzymywania służby, władającej językiem angielskim.

Pośrednią grupę stanowią hotele równie przyzwoite, lecz położone w samym mieście, a nie w ogrodach. Najlepsze z nich to: Golden Gate i Phoenix. Ceny pokoju z utrzymaniem wahają się w nich między 22 a 30 złotymi dziennie.

Są to zakłady porządne, jednak Anglicy zatrzymują się w nich tylko wyjątkowo i zawsze na czas krótki. Z cudzoziemców spotykamy tutaj najwięcej Niemców i Hiszpanów.

Wszystkie niemal zakłady pierwszorzędne znajdują się w rękach cudzoziemców, natomiast wszystkie drugorzędne — w rękach krajowców. Tych hotelików i pensjonatów gorszego typu jest w Funchalu i na jego przedmieściach wielkie mnóstwo. Przy zadaniu sobie pewnego trudu można znaleźć wśród nich zakłady bardzo czyste i bardzo miło położone. Ceny w nich są różne. Za

15, 12, a nawet 10 złotych dziennie otrzymuje się najlepsze pomieszczenie i jedzenie w zakresie skromnych, oczywiście, możliwości lokalu.

Towarzystwo w hotelikach tanich jest zwykle dość kulturalne, ale prawie wyłącznie krajowe, co jednakowoż może stanowić dla cudzoziemca pewną atrakcję, gdyż pozwala mu na bezpośrednie obserwowanie życia ludności miejscowej.

Najtańszym sposobem pobytu w Funchalu jest wynajęcie pokoju umeblowanego wraz z utrzymaniem przy rodzinie. Koszt utrzymania jednej osoby nie przekroczy wówczas o wiele sumy 500 eskudów, czyli 200 złotych miesięcznie.

Zważywszy, że rodziny portugalskie mieszkają zwykle w małych willach, w ogrodach, ten sposób ulokowania się ma bardzo dużo plusów i gdy się natrafi na rodzinę sympatyczną, może być znacznie miłszy od mieszkania w bezdusznym hotelu.

Jak widać z powyższych wyszczególnień, rozpiętość kosztów utrzymania jest w Funchalu bardzo znaczna i waha się między 1,500 i 200 złotymi miesięcznie.

Zupełne przeciwieństwo do kosztów hotelowych stanowią na Maderze ceny produktów żywnościowych. Są one niskie. Kilo doskonałej, świeżej ryby morskiej kosztuje od 40 do 60 groszy, kilo chleba — 56 groszy, kilo masła — 6 złotych, jajko — 12 groszy, litr wina stołowego — 80 groszy.

Tym niskim cenom produktów żywnościowych sekundują również niskie ceny robocizny. Robotnik niewykwalifikowany zarabia od 8 do 10 eskudów, czyli od 3 zł 20 gr do 4 zł dziennie, kobieta zaś — najwyżej 5 eskudów.

Jeżeli dodamy, że ochrona czasu pracy jest tutaj dość problematyczna, to łatwo dojdziemy do przekonania, że

dola robotnika na pięknej, słonecznej Maderze nie jest do pozazdroszczenia.

Wyroby przemysłowe, a więc materiały, ubrania, obuwie i inne artykuły codziennej potrzeby nie są o wiele droższe, aniżeli na kontynencie i naogół ceny ich są tylko nieznacznie wyższe, aniżeli w Polsce.

W Funchalu żyją obok siebie stale jakgdyby dwa gatunki ludzi: letnicy - Anglicy i krajowcy - Portugalczycy. Stopa życiowa pierwszych jest wysoka. Mieszkają oni w dobrych hotelach i wydają przeciętnie około 2 tysięcy złotych miesięcznie na samo utrzymanie. Stopa życiowa Portugalczyków jest skromna. Spędzają oni życie w małych, pięknych domkach z ogródkami, wydając (sfera lepiej sytuowana) około czwartej części tego, co cudzoziemcy.

Dziwna rzecz, ale oba te *gatunki* ludzi żyją z sobą w doskonałej harmonji. Krajowcy nie zazdroszczą gościom ich dóbr, a zdając sobie dokładnie sprawę z tego, że wyspa im w głównej mierze zawdzięcza swój dobrobyt, traktują ich z całą serdecznością i przyjaźnią.

Na Maderze nie miały nigdy miejsca dziwaczne wypadki pobicia turystów przez tłum uliczny, które jeszcze tak niedawno rzucały cień na charakter i obyczaje mieszczanina paryskiego.

ROZDZIAŁ V.

O SŁAWNEM WINIE Z MADERY.

Gdy w roku 1419 Portugalczycy odkryli Madere, nie było na niej ani ludzi, ani winnej latorośli. Już jednak w kilkadziesiąt lat później założono pierwszą winnicę z sadzonek, sprowadzonych z Cypru i Krety. Od tego czasu uprawa poczęła obejmować coraz większe obszary, cie-

sząc się coraz większym sukcesem. Dzisiaj całą wyspę pokrywają winodajne plantacje, pielęgnowane starannie i umiejętnie.

Dzięki doskonałym warunkom klimatycznym wyspy, wino maderskie posiada świetny smak i nadzwyczaj miły aromat. Cechy te rozśławiły je po całym świecie, roznosząc jednocześnie sławę jego ojczyzny. Naprawdę nie będzie to przesada, gdy powiem, że o istnieniu Madery wiedzą wszyscy głównie z racji wyrabianego na niej wina. Jego dobroć posiada już ustaloną i słuszną sławę. Mieszkańcy wyspy dbają o tę famę i dokładają wszelkich starań, aby główny obiekt ich produkcji, dający im utrzymanie, stale zyskiwał na jakości. Do jakiego stopnia troszczą się oni o renomę swoich win, może świadczyć fakt utrzymywania w wielkich stolicach świata specjalnych ludzi, mających za zadanie śledzić, czy na rynku nie ukazują się falsyfikaty. W ostatnich dniach lutego sąd paryski skazał na skutek akcji, wszczętej przez tych agentów, kilkunastu kupców win na kary więzienia od kilku miesięcy do roku za podrabianie madery i porta.

Do najbardziej cenionych win zaliczają tutaj następujące gatunki: *sercial*, *verdelho*, *boal* i *małmazję* (*malvasia*). Pierwszy z tych gatunków jest rzadki i drogi, gdyż wymaga bardzo wielu lat „stania“, aby nadawać się do użytku. Najpospolitszem winem, a kto wie, czy i nie najlepszem jest małmazja — wino słodkie i dość mocne, o zawartości około 18 procent alkoholu. Zwłaszcza silny, przyjemny aromat jest w małmazji bardzo ceniony przez znawców.

Wino maderskie wymaga naogół długiego czasu, aby nabrać smaku i mocy. Fabrykanci okres ten skracają sztucznie przez trzymanie młodego wina w specjalnych cieplarniach.

Istnieją dwa rodzaje tych cieplarni: ogrzewane piecami (*estufas de calor*), w których utrzymuje się stałą

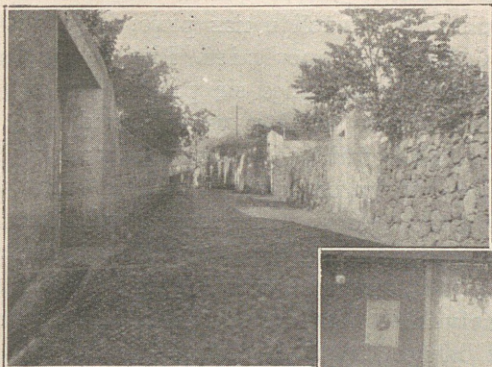
temperaturę od $+40$ do $+60^{\circ}\text{C.}$, oraz drugie — bez pieców (*estufas de sol*), lecz zaopatrzone w szklane dachy, przez które operuje słońce. Jednak wino, nawet „edukowane” sztucznym sposobem, wymaga co najmniej dwóch lat czasu, aby stało się godne przylepienia na niem etykiety — „Madera”. Najpospolitsze gatunki liczą sobie po pięć lat życia. Wina, które „dostały się” bez pomocy cieplarni, są nazywane *canteiro*.

Na wyspie wyrabiają też zwyczajne wino czerwone (*vinho tinto*), które jednak jest gorsze od stołowych win kontynentalnych i wskutek tego nie jest artykułem eksportu.

Różne są oczywiście ceny *madery*. Są one zależne prawie wyłącznie od jej wieku. O ile wino roczne nigdy nie przekracza ceny jednego złotego za trzykwaterkową butelkę, o tyle z roku np. 1860 — kosztuje już 70 eskudów, czyli około 28 złotych. Naogół wina są tam nadzwyczaj tanie. Gdy sobie uświadomię, że u nas butelka „wina” z jabłek kosztuje około 4 złotych, a w Funchalu butelka takiej samej objętości doskonałej maźmazji pięcioletniej — niecałe 3 złote, to robi mi się markotno. Coś tam w kalkulacjach naszych rodzimych fabrykantów nie jest w porządku, albo, poprostu, drą z nas skórę...

Przy kupowaniu na tuziny, w skrzyniach, taniść ta jest jeszcze większa. I tak np. skrzynka (tuzin) wina, opakowanego do dalekiej podróży, z roku 1918, kosztuje 260 eskudów, czyli 104 złote; taka sama skrzynka wina z roku 1925 — kosztuje już tylko 110 eskudów, czyli 44 zł, a z roku 1927 — 90 eskudów, czyli 36 zł. Poza tem można nabyć niezłe wino za 60 i 50 eskudów (24 — 20 zł) tuzin, a wino stołowe po 70 i 80 groszy za litr.

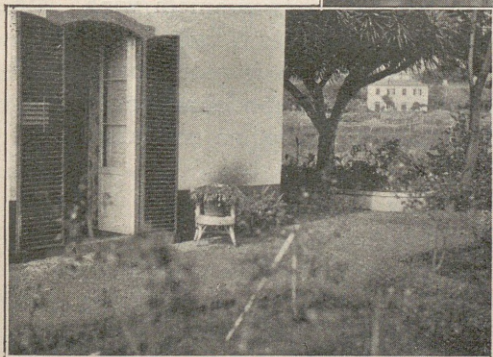
Ceny, które przytaczam wyżej, są cenami ze składów win. W restauracjach i hotelach są one nieco wyższe,



Uliczka Caminho do
Pilar, przy której
mieszkał
Marsz. Piłsudski.



Pokój jadalny
w Quinta Bettencourt.



Wyjście z willi
Marszałka
do ogrodu.

natomiast u fabrykantów można nabyć te same gatunki jeszcze taniej.

Przy tak niskich cenach wino mogło stać się i stało się napitkiem pospolitszym, aniżeli u nas piwo. Pije się je przy lada okazji i przez cały boży dzień. Pije się rano, aby wypędzić z ust „zły smak“, pije się przed obiadem na apetyt, podczas obiadu — zamiast wody, przed wieczorem — aby lepiej smakował podwieczorek, przed kolacją i podczas niej — znowu na apetyt i zamiast wody. Ponadto, pije się z przyjaciółmi i znajomymi, gdyż nie wypada prowadzić pogawędki o suchej „buzi“. A piją nie tylko tubylcy, robią to samo również i turyści, a zwłaszcza Anglicy i Amerykanie, z których wielu chodzi zleka zawianych przez calutki dzień. Słowem — jak wyspa długa i szeroka, słychać tylko siorbanie i cmokanie ustami.

Winobranie, to na Maderze prawdziwe święto. Obchodzą je hucznie i wesoło, ale krótko. Trzeba się śpieszyć z pierwszymi pracami nad wytwarzaniem wina. Nie będę tu opisywał niektórych szczegółów, związanych z tym okresem „edukacji“ miłego napitku, wynalezione go przez pocziwego staruszka Noego, gdyż, podobno, zagłębianie się w nie odbiera dużo apetytu nawet na najstarszą małmazję.

ROZDZIAŁ VI

JAK MARSZAŁEK PIŁSUDSKI MIESZKAŁ I JAK SPĘDZAŁ CZAS NA MADERZE.

Marszałek Piłsudski zajął, jak to już wspominałem, willę w ogrodzie, położoną w północno-zachodniej stronie miasta Funchalu, a właściwie już na jego przedmieściu, zwanem São Martinho.

Nie była to willa luksusowa, jakich na Maderze, a w szczególności w jej stolicy nie brakuje. Był to raczej skromny domek piętrowy, kryty dachówką, o ścianach koloru jasno-kremowego. Z zewnątrz nie rzucał się niczem szczególnem w oczy. Był taki, jakich wiele spotyka się na każdym kroku w tamtej skromnej dzielnicy. Leżał w rozległym ogrodzie, który w bezpośredniej bliskości domu przepełniały kwiaty, klomby i porządne alejki, ale który w swoich dalszych częściach przypominał raczej jakieś zarośla tropikalne, aniżeli park. Zarówno część pierwsza, jak i druga posiadały swoje uroki i obie uzupełniały się świetnie. Przy samym domu rosła wysoka rozłożysta pinja, rodzaj sosny południowej, która sterczała jak wieża i pozwalała z wielu dalszych punktów miasta rozpoznawać miejsce, w którym mieszkał *protektor republiki polskiej*, jak Marszałka Piłsudskiego nazywali mieszkańcy Madery.

Uliczka, przy której stała willa, stanowi jeden z wyłotów, prowadzących z miasta do wnętrza wyspy. Jak wszystkie mniejsze ulice Funchalu, również i ona posiada po obu stronach wysokie mury, poza którymi mieszczą się domy i domki mieszkańców. Jest to uliczka wąska i skromna. Mieszkają przy niej głównie drobni właściciele sadów i rzemieślnicy, a, ponadto, paru bogatych ludzi w swoich *quinta'ch*, czyli willach w ogrodach. Z za jej murów wyglądają powoje i kwiaty, a na nich zieleńią się kolczaste kaktusy. Panuje tam cisza i spokój. Kroki przechodnia, lub dźwięk kołatki metalowej u bramy, zrzadka tylko mącą dostojną powagę tej dzielnicy.

Willę wybudowano na niewielkim wzgórku, górującym nad doliną małego strumienia, Ribeira Secca, który o pół kilometra dalej wpada do morza. Dolinka ta stanowi jeden wielki gaj bananowy, poprzecinany niewielkimi półkami trzciny cukrowej i winnicami.

Z ogrodu i okien willi roztaczał się na te plantacje rozległy widok. Wprost u swoich stóp widziało się czuby krzewów bananowych i rozhuśtaną zieleń trzciny cukrowej. Od strony południowej rozpościerał się dalszy ciąg dolinki strumienia Ribeira Secca, domy i wille, opadające ku brzegowi morskemu, i wreszcie... morze. Nieskończone, ultramarynowe, południowe morze. Willa leżała sto czterdzieści metrów nad jego poziomem, a więc widok z niej był bardzo rozległy. Z ogrodu można było obserwować wielkie okręty, malejące w oddaleniu i zanurzające się w toniach morskich; to znowu małe barki rybackie, kołyszące się zabawnie na falach i zdające się urągać potężnemu oceanowi swoją pozorną bezsilnością.

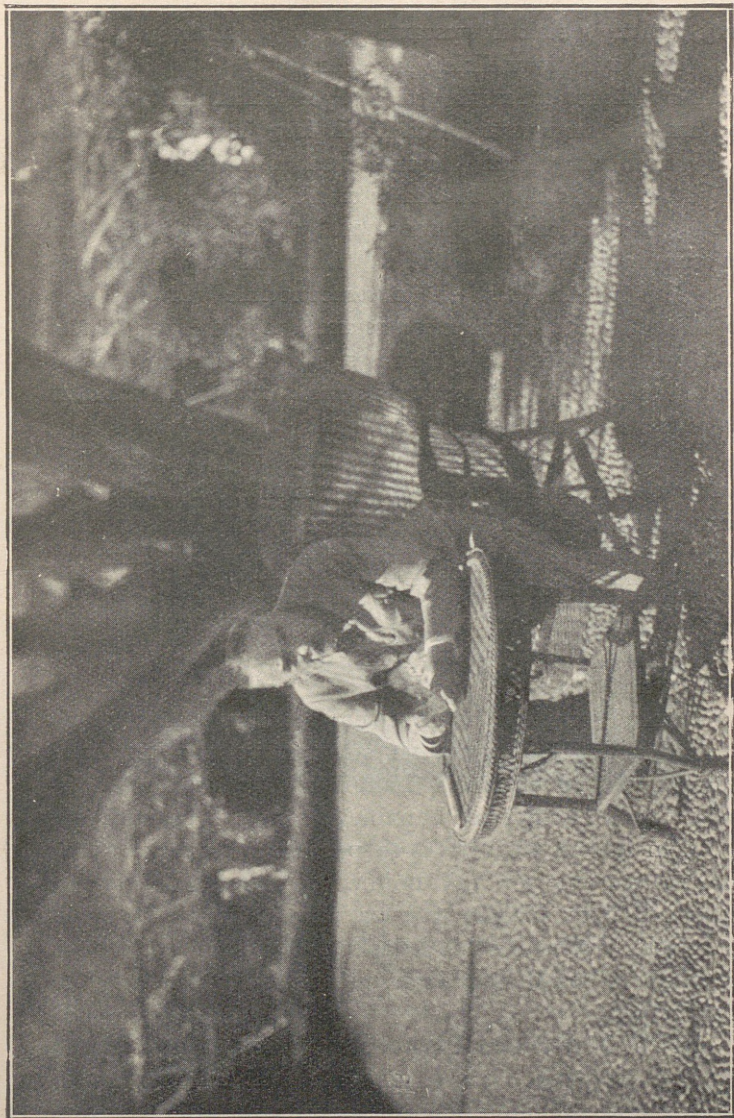
Marszałek Piłsudski stawał często w zadumie przed tym bezmiarem wód i wybiegał wzrokiem hen, daleko, wślad za okrętami, które stamtąd, z tych rozstajnych dróg, rozbiegały się na wszystkie strony świata.

Od zachodu oddzielał willę wysoki mur uliczny. Z poza jego kamieni widać było tylko sąsiedni szczyt górski, pokryty winnicami i zielonemi łąkami. W tym murze, mającym w sobie coś ze średniowieczyzny i coś ze wschodnich zagród haremowych, znajdowała się obszerne brama, wiodąca do wnętrza ogrodu i do willi.

Zaraz za nią widniała piękna uliczka, wybrukowana drobnymi kamyczkami, zbieranymi nad brzegiem morza i wysadzona kwiatami.

Ta uliczka sprawia, że przechodzień, który zajrzy z ciekawości przez bramę do ogrodu, nastraja się dla jej mieszkańców przyjaźnie. „Tutaj mieszkają zapewne dobrzy ludzie — pomyśli — skoro tak piękne dobrali kwiaty i tak pięknie przystroili niemi wejście do swojego *home*“.

Przed tą bramą, a częściej w chłodzie pięknej alejki, wysadzonej kwiatami, wylegiwał się całymi dniami



Marszałek Piłsudski w ogrodzie. Zdjęcie dokonane w pierwszych dniach pobytu w Funchalu.

mały, czarny psiak i wystawał rosły policjant portugalski. Obaj żyli w wielkiej przyjaźni.

Najbliższe otoczenie willi było miłe. Znajdowała się tam i romantyczna altanka i parę ławeczek, a także alejka, gdzie można było przechadzać się w słońcu i taka sama druga, położona w cieniu.

Marszałek często spacerował po ogrodzie. Z drugiej strony dolinki, z wąskiej uliczki, wiodącej gdzieś między małe domki podmiejskie, przechodnie widywali często Marszałka, spacerującego niezmordowanie wzdłuż muru. Jego wysoka, oryginalna sylwetka wyraźnie odbijała od zielonych krzewów bananowych, rzucając charakterystyczny cień na jasne ściany willi.

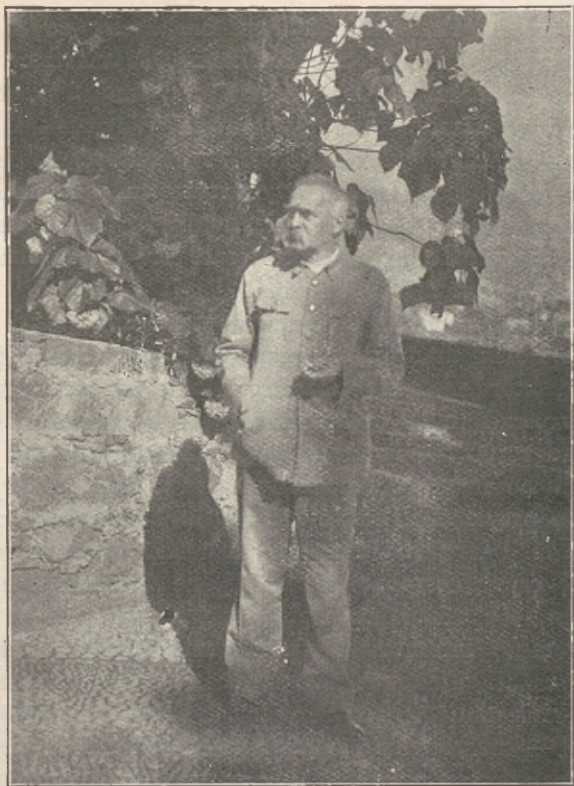
Mieszkańcy przeciwnych domów, zdumieni niezwykłym zwyczajem *protektora republiki polskiej*, opowiadali, że czasem mijało dwie godziny, a cień jego wciąż jeszcze migotał jednostajnymi ruchami przechadzki.

Skromność dzielnicy, w której znajdowała się willa Marszałka Piłsudskiego, aż nadto wynagradzało położenie i cały kalejdoskop przepięknych widoków, jakie z niej się roztaczały.

Idealne powietrze, które na Maderze znajduje się na każdym miejscu, tam, na stosunkowo znacznym wyniesieniu ponad miastem i morzem, wydawało się — trzeba tu użyć koniecznie banalnego słowa — balsamiczne.

Tym darom natury, które pocziwa staruszka rozsypała w tem miejscu tak hojnie, w małej tylko mierze odpowiadało urządzenie wnętrza willi. Wprawdzie nosiło ono cechy wytworności, szlachetności linii, i t.d., ale wszystkie te przedmioty były już nieco draśnięte zębem czasu.

Dzień Marszałka Piłsudskiego rozpoczynał się na Maderze wcześniej. Już o godzinie 8-ej rano opuszczał łóżko, zjadał śniadanie, i, o ile pogoda pozwalała, prawie codziennie udawał się do ogrodu. Tutaj albo odbywał



Marszałek Piłsudski podczas przechadzki.

najpierw długą przechadzkę na swój zwykły sposób, to znaczy na małej przestrzeni, a potem zabierał się do czytania francuskich dzieł, traktujących o działaniach wojennych, bądź też odwrotnie — najpierw czytał, a później spacerował.

O godzinie 11-ej przychodziła pokojówka Georginia (czyt. Żorżinja) i zawiadamiała, że drugie śniadanie jest

już na stole. Marszałek udawał się wtedy do jadalni, gdzie wypijał herbatę z bułeczkami, lub ciastem. Przy drugim śniadaniu, podobnie jak i przy innych posiłkach, towarzyszył Marszałkowi dr. Marcin Woyczyński.

Czas między godziną 11 a 15-tą, o której Marszałek miał zwyczaj jadać obiad, wykorzystywał podobnie jak godziny ranne na czytanie dzieł wojskowych, a niekiedy na robienie notatek, lub dyktowanie dr. Woyczyńskiemu rozdziałów swoich nowych prac.

Dr. Woyczyński, w przewidywaniu tej pracy, przywiózł z Polski maszynę do pisania, zaopatrzoną w polski alfabet, która, jak się okazało, bardzo się przydała.

Przyrządzaniem obiadu zajmował się kucharz Teixeira, Maderczyk, który przez długie lata praktyki w miejscowych hotelach, przeznaczonych dla cudzoziemców, nauczył się przyrządzać jadło na sposób francuski, przyjęty częściowo i u nas. Pewnego razu zapytałem tego kucharza, czy Marszałek wyrażał jakie życzenia odnośnie obiadów, czy też kolacyj. Okazało się jednak, że Marszałek mało interesował się kuchnią i żadnych życzeń nie wyrażał. Teixeira czuł się nawet tem urażony.

— Nie mając żadnych wskazówek — żalił się biedaczysko — muszę pilnie baczyć na to, co Pan Marszałek je z apetytem, a co pozostawia na talerzach i według tego stosować układanie jadłospisu na następne dni.

— Zadziwiające jest dla mnie — dodał później — że Marszałek Piłsudski zupełnie nie chce jeść zupy.

Pokiwałem głową, myśląc, że jednak w Marszałku Piłsudskim jest jeszcze wiele innych, nieco ważniejszych i więcej zdumiewających rzeczy, aniżeli niechęć do zup, jednak nie powiedziałem tego głośno, aby pocziwego Teixeiry nie *speszzyć*.

Jak wiadomo, ocean u brzegów Madery obfituje w doskonałe gatunki ryb. Wskutek tego stół wyspiarzy jest zwykle niemi przeładowany. Również na obiady Mar-

szałka składały się ryby, oprócz mięs, prawie codziennie. Wielka ich różnorodność pozwalała na tę pozorną jednostajność.

Marszałek spożywał zwykle obiad szybko i udawał się do swego pokoju.

Około godziny czwartej zjawiał się ponownie w ogrodzie, gdzie wyciągał się wygodnie na wiklinowym fotelu. Ten czas, poświęcony absolutnemu wypoczynkowi, był jednak bardzo krótki. Zwykle już po godzinie Marszałek zaczynał nudzić się bezczynnością i począł oglądać się za swoimi książkami i notatkami. Czasem tylko, gdy piękna pogoda aż „łapała za serce“, odkładał pracę na później i spacerował po ogrodzie, stając często w zadumie na miejscu, skąd roztaczał się niezrównany widok na bezmierny ocean.

Kolację, sporządzoną na sposób zagraniczny, Marszałek spożywał o godzinie 8-ej wieczorem. Kucharz Teixeira wychodził poprostu ze skóry, aby potrawy były smaczne.

Ubiór, jakiego zwykł Marszałek używać w Funchalu, był taki sam, jaki nosi w Belwederze. A więc siwe, długie spodnie i zwyczajna, siwa kurtka strzelecka bez żadnych odznak i dystynkcji.

Wieczory spędzał Marszałek w swoim pokoju. W jego oknach światło świeciło się do późna. Niekiedy nawet o północy prześwitywało poprzez listowie drzew, rosnących przed willą.

Pocztę z Europy na Maderę przywożą różne okręty, które, będąc w drodze do portów Ameryki Południowej i Afryki, zatrzymują się również w Funchalu.

Żadnej specjalnej obsługi pocztowej niema, co powoduje, że listy przychodzą na wyspę nieregularnie. Niekiedy zdarza się, że jednego dnia przywożą worki z pocztą dwa lub nawet trzy okręty, a kiedy indziej mija cztery i pięć dni bez komunikacji z lądem europejskim.

Listy, adresowane do Marszałka Piłsudskiego, kładł kierownik poczty do dużej koperty, zaklejał i w tym stanie przysyłał do ustronnej willi, zajętej przez *protektora polskiej republiki*.

Te duże koperty były oczekiwane przez adresata z niecierpliwością, gdyż często przynosiły listy, kreślone przez żonę, lub też drobne rączki Wandzi i Jagódki.

Wszystkim znana jest głęboka miłość, jaką Marszałek Piłsudski obdarza swoją rodzinę i dlatego nikogo też ta niecierpliwość nie zdziwi.

Z drugiej strony oceanu, w Polsce, z taką samą bezwątpienia niecierpliwością wyglądano w Belwederze listów z marką portugalską, zaopatrzoną w stempel pocztowy z Funchalu.

Pocziwa poczta spełniała swój obowiązek sumienia. Kwadratowe, białe koperty krążyły między Polską a Maderą niezmordowanie.

Jak wiadomo, Marszałek Piłsudski nie lubi fotografować się. Przed obiektywem nigdy nie pozuje i nie znosi, gdy z okazji różnych uroczystości przytłaczają naokoło niego aparaty.

Pomimo jednak tej niechęci, odezwał się pewnego razu do zdumionego jego słowami dr. Woyczyńskiego:

— Zdejmcie no mnie tu, w oknie, bez marynarki. Chcę, żeby moje dzieci widziały, jak to na Maderze można sobie w styczniu drwić z zimy.

Niezawsze jednak poczta była zwiastunem listów miłych. Częściej zdarzało się, że wielką kopertę wypełniały prośby różnych spryciarzy, którzy umieli ze swoimi żalami trafić aż na Maderę i mieć niemi spokój odpoczynku Marszałka.

Obok nieszczęśliwców, nękanych przez życie, nie brakowało wśród piszących na wyspę spekulantów, kombinujących, że może będą jedynymi, którzy wpadli na myśl napisania tak daleko...

Niekiedy trafił się list jednego z licznych w Warszawie manjaków, zasypujących fantastycznymi projektami różne urzędy i osoby wysoko postawione.

Raz zdarzyło się nawet, że pewien Izraelita z kreśłów nadesłał obszerny memorjał, pięknie wykaligrafowany w... żargonie. Potężna ta epistoła była zaopatrzona w kilka polskich tytułów, z których wynikało, że treść jej jest poświęcona „żydowskiemu projektowi obrony granic“.

Prawdziwem utrapieniem były depesze. Przeciętnie sześć, siedem, a czasem piętnaście razy dziennie rozlegał się u furty willi Marszałka Piłsudskiego przeraźliwy głos kołatki, a na zapytanie, kto się dobija, padała nieodmienna odpowiedź:

— Telegrama!

Depesza to czasami niemiła rzecz. Kto wie, co może zawierać? Może ktoś z bliskich zachorował, może ktoś umarł? Polak z tradycji jest do depesz nastrojony nieufnie. Nic też dziwnego, że na twarzy dr. Woyczyńskiego, odbierającego je, odbijało się za każdym razem pewne zaniepokojenie.

— A nuż co złego...

ROZDZIAŁ VII.

GALERJA GOŚCI EGZOTYCZNYCH U MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO.

Pierwsze dni swego pobytu na wyspie spędził Marszałek w zupełnem odosobnieniu od ludzi. Na samym początku przyjął wizytę gubernatora, pułkownika José Maria de Freitas'a, poczem rewizytował go w jego prywatnem mieszkaniu, mieszczącym się w starej, obronnej niegdyś cytadeli. I na tem skończył się narazie kontakt z tubylcami.

Coś na trzeci, czy czwarty dzień pobytu Marszałka Piłsudskiego w Funchalu, zaślatali do jego samotnej willi oryginalni goście.

Pokojówka Georginia patrzyła na nich z przerażeniem. Byli to dwaj okazali panowie, których nosy wystarczały za paszport. Ich dźwięczne nazwiska brzmiały: Nusym Król i Szaja Szternfeld.

Pan Nusym Król niósł wielki bukiet kwiatów i był ubrany w białe rękawiczki.

Uklonili się grzecznie.

— Chcieliśmy złożyć panu Marszałkowi Piłsudskiemu swoje uszanowanie.

Marszałek był jednak, niestety, zajęty. Panowie: Nusym Król i Szaja Szternfeld zostawili bukiet, pogawędzili chwilę z dr. Woyczyńskim i poszli.

Odwiździłem tych pocziwców później w hotelu. Byli to, oczywiście, Polacy, żydowskiego pochodzenia. Jeden ze Zduńskiej Woli, a drugi z jakiegoś małego miasteczka z Małopolski wschodniej.

— Co tu, na Maderze, panowie robią? — zapytałem ich.

— Trochę handlujemy. Mieszkamy w Lizbonie. Porządne miasto i porządni ludzie w niem mieszkają.

— A tęsknicie do Polski?

— No, naturalnie. Chcielibyśmy wrócić, ale interesy nie pozwalają.

Byli wzruszeni przyjazdem Marszałka do Portugalji.

— Wszystkie gazety o tem pisały — mówił z przejęciem pan Nusym Król.

— Aż przyjemnie być Polakiem — dodał pan Szaja Szternfeld.

Uściśnąłem im ręce serdecznie.

Jeszcze w tej chwili im się udało i oni też wrócili do Polski.

Odpoczynek Marszałka Piłsudskiego na Maderze przedstawiał się jak różaniec dni cichych i spokojnych, pozbawionych zupełnie silnych podnieć zewnętrznych, w które tak obfituje jego życie w Polsce.

Dzień do dnia był podobny bliźniaczko. Nawet niebo i słońce stosowało się do tej reguły, przyjętej w skrom-



Przy pracy.

nej willi na przedmieściu Funchalu. Nawet one starały się pokazywać niezmiennie pogodne i ciche oblicza.

W czasie jednego z takich dni monotonnych zahuczał na wąskiej uliczce przy willi samochód. Ryknął kilka razy groźnie syreną i stanął przed furtą.

Z pojazdu wysiadła elegancka dama i elegancki pan. Przez chwilę rozglądali się, poczem mężczyzna ujął za

żelazną kołatkę, wiszącą u bramy, prowadzącej do ogrodu Marszałka i pociągnął nią silnie.

Po paru minutach dały się słyszeć kroki, odsuwanie zasuw i z furty wyjrzała twarz dr. M. Woyczyńskiego.

— Państwo do kogo? — zapytał doktor po francusku.

— Do pana Marszałka Piłsudskiego — odpowiedział mężczyzna i podał swój bilet wizytowy.

Był to p. X. z miasta Lourenço Marques w Mozambiku.

Dr. Woyczyński, odczytawszy z biletu to egzotyczne pochodzenie, zdumiał się i na chwilę zaniemówił:

— Przepraszam bardzo — rzekł po pewnym czasie, gdy już głos odzyskał — ale pan Marszałek jest szalenie zajęty i rzeczywiście będzie mu trudno państwa przyjąć.

— My nie zajmiemy mu wiele czasu.

Doktor rozłożył bezradnie ręce.

— Pomimo tego.

— Ach, jaka szkoda — odezwała się milcząca do tychczas dama — myśmy tak wiele obiecywali sobie po tej wizycie.

Dr. Woyczyński pokiwał z ubolewaniem głową.

— Nie da pani wiary, jak mi przykro — rzekł bez przekonania.

Tymczasem p. X. z Mozambiku stuknął się palcem w czoło i oświadczył, że, być może, obejdzie się bez widzenia z Marszałkiem, boć przecież ich sprawę mógłby załatwić również doktor.

— A jaka to sprawa?

Pan X. zrobił tajemniczą minę.

— Widzi pan — rzekł — myśmy przyjechali tutaj do pana Marszałka, aby pokazać mu wspaniałe dywany egipskie, które przywieźliśmy z Afryki.

— I nietylko pokazać — dodała dama — bo gdyby pan Marszałek chciał kilka kupić, to chętnie mu odstąpimy. Także...

— Bardzo dziękujemy — przerwał jej pośpiesznie doktor — Marszałek nic nie kupuje.

W tem miejscu gość z Mozambiku jeszcze pośpieszniej poskoczył do oczekującego samochodu i wyciągnął z jego wnętrza jakieś okropne dywanisko, na którym były wyobrażone przy pomocy naszywanych szmatek kolorowych różne figury i widoki. Na wschodzie można takie dywany znaleźć w każdym sklepie.

— Oto — rzekł — ma pan przed sobą prawdziwe dzieło sztuki.

— Hm! — mruknął dr. Woyczyński, patrząc na dywan, jak na szybę.

— Za tę cudowną rzecz — ciągnął przybysz dalej — żądamy śmiesznie niskiej ceny.

— Tak — mruknął znowu doktor, wciąż nie zdradzając ani cienia zainteresowania „dziełem sztuki“.

— Tylko... 500 dolarów — dokończył pan X. z Mozambiku swoją tyradę na cześć dywanu takim tonem, jakby wstydił się tej niskiej ceny.

— Taaak! — przestraszył się oszczędny z natury dr. Woyczyński, któremu ta cena nie wydała się bynajmniej niska — nie, dziękuję, nie potrzebujemy dywanów.

Mozambickiej pary wcale jednak nie zrażały kategoryczne odmowy i minimalne zainteresowanie „towarem“ ze strony dr. Woyczyńskiego.

— Proszę pana — mówił dalej mężczyzna, „jak-gdyby nigdy nic“ — Marszałek nie może przeoczyć takiej okazji. Gdzie on drugi raz podobną rzecz znajdzie?

— I za taką niską cenę — wtrąciła dama.

Tu już dr. Woyczyński, który w tym czasie przeliczył sobie tę niską cenę na złote polskie, nie mógł wytrzymać i rzekł:

— No, co do ceny, to nie jest ona taka znowu bardzo niska.

— Tak, ale przecież Marszałek musi być bardzo bogaty, co to dla niego znaczy 500 dolarów...

Dr. Woyczyński już jednak zniecierpliwił się długą rozmową.

— Nie — rzekł krótko — Marszałek Piłsudski wcale nie jest bogaty.

Goście z Mozambiku trochę się zdetonowali. Aby ratować sytuację, p. X. rozpoczął rozmowę obojętną, a chcąc okazać się grzecznym, zainteresował się osobą doktora, pytając go z ujmującym uśmiechem: —

— Pan, oczywiście, jest też Rosjaninem?

Dr. Woyczyński spojrzał na niego zezem, skrzywił się, i rzekł dobitnie:

— Adieu!

Ryk syreny samochodowej zagłuszył trochę może nazbyt mocne trzaśnięcie furty w murze, prowadzącej do ogrodu.

*

* *

Innego znowu dnia zameldował policjant portugalski, pełniący służbę, że przed bramą znajduje się trzech obcych panów z Brazylii.

— Czego chcą? — zapytał Marszałek.

— Chcą widzieć się z panem Marszałkiem — odrzekł policjant.

Marszałek zmarszczył się.

— Nie — rzekł krótko.

Doktor Marcin Woyczyński powstał z wygodnego fotela koszykowego i udał się przed furte, aby zakomunikować przybyszom, że Marszałek Piłsudski nie przyjmuje nikogo.

Zastał tam trzech jegomościów o śniadych twarzach i ciemnych oczach, którzy, nie czekając aż się odezwie, a, być może, biorąc go za Marszałka, przedstawili mu się w tych mniej więcej słowach:

— Jesteśmy dziennikarzami z Brazylii. Reprezentujemy dzienniki *Correio da Manhã* i *O Jornal* z Rio de Janeiro, a ponadto siedem pism prowincjonalnych. Jesteśmy w drodze do Europy. Na Maderze zatrzymujemy się tylko kilka godzin. Jeden z nas będzie w Polsce. Interesujemy się kwestją emigracji polskiej do Brazylii, chcielibyśmy usłyszeć w tej materji kilka słów od pana Marszałka.

Tę długą tyradę przerwał im dość bezceremonjalnie dr. Woyczyński krótkim oświadczeniem, że, niestety, jest to niemożliwe, gdyż Marszałek Piłsudski przebywa na Maderze w celach wypoczynkowych i żadnych wywiadów wskutek tego nie udziela.

W godzinę później rozmawiałem ze strapiionymi Brazyłjanami.

— Nic się, panowie, nie martwcie — pocieszałem ich. — Takich, którym Marszałek Piłsudski odmówił wywiadu, było więcej.

Brazyłjanie kiwali głowami, jednak rozżalenie nie opuszczało ich.

— No tak, ale przecież mógł nam dać chociaż autograf — skarżyli się żałośnie.

— Mógł — potwierdziłem — ale nie musiał. Gdyby dał wam, zleciałoby się tutaj zaraz parę tuzinów innych dziennikarzy po to samo i, oczywiście, odpoczynek wzięliby djabli.

Radzi, nie radzi, musieli Brazyłjanie przyznać mi rację.

W trakcie dalszej rozmowy wynikło, że w Brazylii, która zamknęła z dniem 15 stycznia r. b. imigrację biedoty (wolno przyjeżdżać tylko tym cudzoziemcom, któ-

rzy wykażą się w porcie posiadaniem 3 tysięcy milrejsów gotówki), nurtują obecnie prądy, zmierzające do ujęcia tego zjawiska w pewne określone ramy.

Opinia publiczna opowiada się za utrzymaniem imigracji tylko łącznie z wprowadzeniem tak zwanej metody selekcyjnej, czyli uprzywilejowania niektórych narodów na niekorzyść innych.

Gdyby zamierzenia te przyoblekły się w kształty realne, mielibyśmy z Brazylii nowy kraj „kwotowy“.

Podobnie jak w Stanach Zjednoczonych, wyznaczony dla różnych nacji pewne maximum wiz wjazdowych, ograniczając dotychczasową w tej dziedzinie dowolność.

W związku z tą koncepcją wyłoniła się kwestja, które narody należy uznać za pożądane dla Brazylii, a które za niepożądane. Naogół dość zgodnie potępiono imigrację arabską (tak zwaną popularnie syryjską) i portugalską. Z dużo mówiącym przekąsem pisano też i mówiono o Włochach.

Bodaj najwięcej głosów publicznych poczęło wypowiadać się w tym sensie, aby uprzywilejować w pierwszym rządzie Niemców, jako ludzi o dużej cywilizacji, kulturze i środkach materialnych.

Znaczna część prasy lansuje ten kierunek, podsuwając go czynnikom miarodajnym.

Nie wszyscy jednak projekt ten uznają za szczęśliwy. Przeciwnicy tego wysuwają argumenty, że Niemcy zatrącili już pęd do pracy na roli i porzucają ją chętnie, udając się na „łatwy i weselszy chleb“ do miast.

Brazylija natomiast, według ich zdania, jest w chwili obecnej zainteresowana jedynie w rozwoju swoich bezludnych obszarów, a nigdy w powiększaniu i tak już dającej się we znaki urbanizacji.

Ta część opinii publicznej sprzyja imigracji słowiańskiej, a w szczególności polskiej, jako najwięcej tam znanej.

— My przedstawiamy w naszych osobach — mówił mi p. Mauricio Marques Lisboa, redaktor *Correio da Manhã* — kierunek pro-polski. Rozumiemy doskonale, że emigranci polscy, to najlepsi kandydaci na kolonistów w naszych dziewiczych lasach i stepach. Mamy zupełnie ściśle relacje, z których wynika, że wśród Polaków, mieszkających w Brazylii, prawie wcale nie zaznacza się ruch z osad do miast, podczas gdy ruch ten na kolonjach niemieckich przybiera w niektórych stanach rozmiary wprost zastraszające.

Kwestja nowych praw imigracyjnych jest obecnie w Brazylii na „warsztacie”. Otwiera się tam wdzięczne pole do pracy dla naszego przedstawiciela w Rio de Janeiro.

Sprawa ta jest dzisiaj tem dla Polski ważniejsza, że wszystkie już bodaj dawniejsze rynki imigracyjne przykneły swoje drzwi szczelnie i o ile nie zabezpieczymy się odpowiedniami traktatami, będziemy zmuszeni dusić się w ciasnych granicach etnograficznych.

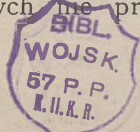
ROZDZIAŁ VIII.

TRAGICZNA OPERETKA REWOLUCYJNA W FUNCHALU.

Na początku lutego rząd lizboński wydał dekret, na podstawie którego stawki celne dla wwozu zboża i mąki zostały bardzo znacznie podwyższone.

Rozporządzenie to odbiło się tylko słabem echem w Portugalji kontynentalnej, gdzie ziarna jest dostatek, a więc ograniczenie dowozu szło na rękę dużej części ludności.

Inaczej sprawa przedstawiała się na Maderze, która roślin chlebobajnych nie produkuje prawie wcale



i gdzie „chleb powszedni“ wypieka się głównie z mąki, względnie ziarna, sprowadzonego z Kanady. Tutaj podniesienie stawek celnych oznaczało jednocześnie znaczną podwyżkę cen chleba, tem bardziej, że dekret wprowadzał cło również na zboże, przywożone z Portugalji kontynentalnej.

Nic też dziwnego, że w południe tego samego dnia, w którym prasa poranna doniosła o podpisaniu nowego rozporządzenia, rozgorzały przeciw niemu demonstracje na ulicach Funchalu.

Początkowo nie zapowiadało się na nic szczególnie groźnego. Władze pokpiwały sobie z zajść, a komendant policji, zapytany przeze mnie, co sądzi o sytuacji, odpowiedział:

— Jutro będziemy mieli spokój.

Jednakże nadeszło „jutro“, a spokoju nie było. Tłumy demonstrowały na głównym placu Funchalu, przy którym wznosi się stara cytadela z XVII wieku, mieszcząca obecnie biura gubernatorstwa wojskowego i cywilnego. Manifestacje odbywały się naogół spokojnie, a w wielu wypadkach nawet „na wesoło“.

Marszałka Piłsudskiego powiadomił o rozruchach dr. Woyczyński, dodając, że wszystko odbywa się spokojowo i z humorem.

Marszałek, wysłuchawszy relacji, pokiwał głową i mruknął:

— Miłe złego początki — poczem zagłębił się w swoją zwyczajną pracę i przestał się już wogóle rewolucją w mieście zajmować.

Pod wieczór drugiego dnia sytuacja poczęła stawać się coraz mniej wesoła. Gubernator wyspy, pułkownik José Maria Freitas, schronił się do koszar, posterunki policyjne zostały z miasta wycofane, a na ulicach ukazały się oddziały wojska.

Trzeciego dnia rozruchów rano udałem się, jak zwykle, do centrum miasta, aby zobaczyć, co się dzieje nowego.

Działo się niedobrze.

Na placu przed gubernatorstwem zgromadził się kilkutysięczny, podniecony tłum, wznoszący wrogie okrzyki



Przemówienie jednego z agitatorów podczas „tragicznej operetki rewolucyjnej”.

już nie tylko przeciw dekretowi, ale również przeciw gubernatorowi i policji.

Jakaś „komisja” ogłosiła strajk powszechny, który też niezwłocznie wybuchł, ogarniając wszystkie fabryki, zakłady, sklepy i instytucje.

Wszelki ruch zamarł. Do środka miasta napłynęły tysiące robotników portowych, robotników z licznych tu gorzelni, cukrowni i t.d. Do hasła napóżór niewinnego i z ruchem społeczno-politycznym mającego luźny tyl-

ko związek, poczęły przyplątywać się zagadnienia inne. Coraz częściej dawały się zyszeć okrzyki: *Abaixo dictadura* (precz z dyktaturą), a mury miasta pokryły się napisami antyrządowemi.

Nieliczna policja funchalowska była bezsilna, przeto władze administracyjne uznały za stosowne wezwać asystencji wojskowej. Służbę bezpieczeństwa objął w mieście 13-ty pułk piechoty, stacjonujący na wyspie stale. Jego oddziały obstawiły port, gmach gubernatorstwa, komendę policji, sejmik municypalny, a przede wszystkim plac im. dr. Arriago'iego, stanowiący centrum wszelkich poczynań demonstrantów.

Funchal przybrał charakter miasta zdobytego. Wszędzie błyszczały bagnety, dźwięczały szable i rozlegał się miarowy tupot nóg maszerujących patroli.

W zachowaniu się wojska nie było jednak nic prowokacyjnego, przeciwnie, tłum wyczuwał raczej sympatię ku sobie, a nie nienawiść, to też raz po raz zrywały się okrzyki na cześć armji, a złość skierowała się ku policji, usiłującej cały ruch zlikwidować.

Około południa 7 lutego doszło do starć. W pobliżu wielkiej gorzelni, mieszczącej się opodal centrum miasta, tłum począł napastować znaczny oddział policji i zmusił go do schronienia się poza mury fabryki. Stróże bezpieczeństwa publicznego zatarasowali się i rozpoczęli strzelanie z okien do atakujących.

Na bruk padło kilku zabitych i rannych.

Na widok masakrowanych cywilów ujął się za nimi jeden z oddziałów wojskowych i rozpoczął ogień do... policji.

Po kilkuminutowej walce trzech policjantów zostało zabitych i kilku rannych, resztę zaś tłum rozbroił i rozpedził.

Przez chwilę unosiło się nad miastem widmo zdecydowanej rewolty wojskowej, zwycięstwa tłumy i nieobli-

czalnych skutków, jakie mogłyby te zajścia spowodzić na nieszczęsne miasto i jego ludność.

Anarchja zdawała się być tem bliższa, ponieważ gubernator zażądał telegraficznie od rządu centralnego dymsji, a władzę przekazał jednemu z urzędników.

Gdybym nie miał być za sobą pewnej znajomości miłego narodu portugalskiego, niewątpliwie przeląkłbym się sytuacji. Ponieważ jednak naród ten znałem, byłem zupełnie spokojny nawet wówczas, gdy na ulicach Funchalu lała się krew.

Ludek południowy, skory do rozruchów i różnych „pronunciamentów“, jest jednak za mało wytrwały i za trudno mu skupić myśli na jednym przedmiocie, aby gniew jego należało brać zbyt poważnie. To też zamiast kontynuować akcję obejmowania miasta i zacieśniać węzły przyjaźni z wojskiem, ten lud nagle, ni z tego, ni z owego, zwrócił się przeciw właścicielom piekarni, którzy, rzekomo, popierali u rządu osławiony dekret. W mig rozbito trzy składy mąki i całą ich zawartość zrabowano.

Ten „czyn“ był tego dnia ostatnim wybitnym czynem rewolucji w Funchalu.

Pod wieczór tłumy w centrum miasta poczęły rzędnąć. Nastrój na chwilę uległ jeszcze podnieceniu, gdy ukazały się odezwy, nawołujące do wytrwania w proteście i obrzucające gubernatora obelżywymi wyzwiskami, z których do najwięcej parlamentarnych należało słowo: cymbał.

Po tak ostrem wystąpieniu tłumy zdawało się rzeczą niemożliwą, aby mogło wszystko „rozejść się po kościach“. Jednakże, jak już wspomniałem, Portugalczykowi trudno wytrwać w pewnej akcji na dłuższą metę, nic też dziwnego, że czwarty dzień rozruchów miał już przebieg niepomiernie łagodniejszy.

Wprawdzie strajk powszechny jeszcze trwał, sklepy były zamknięte, policja internowana przez wojsko, lecz

tłumy na placu przed gubernatorstwem znacznie zmalały i nie okazywały ani części dawnej agresywności.

Jedynym niepokojącym objawem było najście śródmieścia przez tysiące robotników i chłopów z przedmieść i okolicznych wsi. Gromady tych nic nie mających do stracenia ludzi włościły się po mieście, rzucając łapczywe spojrzenia na drzwi i okna zamkniętych sklepów. Drzemiąca w ludziach bestja wyzierała z ich oczu. Bestja ta jeszcze drzemała, ale byle drobny powód mógł spowodować jej ocknięcie.

Noc z 7-go na 8-my lutego była przesycona atmosferą niepewności. Ani władze w Lizbonie, ani „lud“ nie zamierzali ustąpić. Nikt nie był pewien, co zrobi wojsko, ani jak się zachowa nieobliczalna ulica.

W niedzielę, dnia 8 lutego, w stolicy wyspy Madery panował wciąż jeszcze nastrój buńczuczny. Tłumy wciąż jeszcze wykrzykiwały: *abaixo dictadura* i *abaixo decreto*, lecz miny rzędły z godziny na godzinę.

Wojsko, które z początku strzelało do policji i zdradzało niedwuznaczną sympatję ku ruchowi, zmieniło nagle chorągiewkę i rozpoczęło nową erę swej działalności od zaaresztowania pięćdziesięciu przywódców demonstracji. Tak postąpiła piechota, ale nie trzeba zapominać, że w Funchalu stacjonuje również baterja armat. Artylerzyści ani myśleli wystąpić przeciw „ludowi“, zachowując się w stosunku do ruchu z przyjazną neutralnością.

Tymczasem rząd lizboński, zaalarmowany wiadomościami z Madery, nadchodzącymi drogą telegraficzną, która nie uległa przerwie ani na chwilę, rozpoczął przeciwdziałanie. Pierwszym krokiem było kreowanie nowego urzędu dla wyspy, a mianowicie Delegatury Rządu. Delegatem został mianowany pułkownik Silva Leal, który podobną funkcję, w podobnych warunkach, pełnił w swoim czasie na wyspach Azorskich. W celu zabezpieczenia prestiżu dodano mu 120 żołnierzy z 5-go

pułku strzelców, oraz cztery ciężkie karabiny maszynowe z obsługą, liczącą czterdziestu ludzi. Cała ta ekspedycja została załadowana na okręt pasażerski *Pedro Gomez* i dnia 7-go lutego o godzinie 13-ej wyruszyła do Funchalu. Przedtem jeszcze odbyło się na pokładzie huczne pożegnanie z orkiestrą i szampanem, w którym brał udział szereg ministrów, generałów i admirałów.

Snać wieści, które nadeszły do Lizbony po odjeździe delegata rządu nie były uspokajające, gdyż jeszcze tego samego dnia, w nocy, wysłano wśląd za *Pedro Gomezem* statek wojenny, kontrtorpedowiec *Guadiana*.

Wiadomość o wysłaniu sił zbrojnych, przyjęto w Funchalu rozmaicie. „Povo“ czyli „lud“ przestraszył się. Piechota zaaresztowała jeszcze kilku ludzi, natomiast artylerja poczęła krzątać się po wybrzeżu morskiem, co robiło wrażenie, jakgdyby wybierała dogodnie stanowiska, z których możnaby ostrzeliwać nadchodzący kontrtorpedowiec i uniemożliwić dokonanie desantu.

W niedzielę wieczorem panowało w mieście głębokie przekonanie, że następnego dnia przed południem, to znaczy w terminie nadejścia statków z lizbońską siłą zbrojną, rozegra się jakaś bitwa. Obecność wielkich tłumów, które wyległy w tym czasie na brzeg morski, potwierdzała przypuszczenia.

Policja wciąż jeszcze była internowana i trzymana pod zamknięciem, co, zresztą, mogło jej wyjść tylko na dobre, gdyż mundury jej działały na tłum, jak czerwień na byka. Wręcz oświadczano, że policjantów trzeba wymordować co do nogi i niewątpliwie zaaplikowanoby niejednemu taką kurację, gdyby usiłowali się pokazywać na ulicach. Oni jednak tych usiłowań nie czynili. Nawet posterunek policyjny w odległej dzielnicy, w której znajdowała się willa Marszałka Piłsudskiego, stojący od całej awantury zdaleka, przebrał się po cywilnemu i w ten sposób pełnił służbę.

„Nie trzeba drażnić bestji“ — tłumaczył się później ze swego postępuku.

Aby zrozumieć to, co się działo przez cały dzień 9-ty lutego, gdy okręty z Lizbony stały już w zatoce w Funchalu, trzeba dobrze znać Portugalczyków i ich siłę zbrojną.

Otóż, przedewszystkiem, artylerja nie wymierzyła dział przeciw okrętom rządowym, piechota nie pokumała się z nadeszłemi posiłkami, „povo“ nie demonstrował, a okręt wojenny nie zdradzał najmniejszej chęci mieszania się do tego, co się działo w mieście. Wytworzyła się więc sytuacja dość dziwaczna, tem bardziej, że strajk powszechny wciąż trwał, a policja siedziała nadal „pod kluczem“.

Poczęto radzić.

Na okrętach radzono, czy wysadzić wojsko, na lądzie zaś — czy rozmawiać z delegatem. Po pewnym czasie zdecydowano zgodnie, że trzeba porozumieć się osobiście. Z okrętów przybyło kilku oficerów, oraz delegat rządu płk. Silva Leal i... rozpoczęły się „długie Portugalów narady“.

Tymczasem „povo“, nie mając najmniejszego pojęcia o przebiegu rokowań przywódców siły zbrojnej wyspy z przedstawicielem rządu i przywódcami siły zbrojnej morskiej, snuł się kupami po porcie i ulicach śródmieścia, użalając się nad swoim smutnym losem i już bardzo cieniem głosem wykrzykując swoje portugalskie „precze“.

Angielscy turyści, którzy dotychczas siedzieli po pensjonatach, jak myszy pod miotłą, dowiedziawszy się o przybyciu okrętu wojennego, nabrali animuszu i gromadnie wyruszyli na miasto, mieszając się z tłumem i prztykając aparatami fotograficznymi. Nie znając języka miejscowego, nie orjentowali się zupełnie w tem, co dzieje się w mieście i, nawiasem mówiąc, nie usiłowali wcale tego badać.

Zapadł mrok, wreszcie nadeszła noc, a narady w gmachu gubernatorstwa i w koszarach wciąż trwały. „Povo“ opowiadał sobie na ulicach, że narady te były gęsto przeplatane krótkimi przerwami, podczas których strudzeni dyplomaci pokrzepiali swoje ciała zakąskami, tudzież napitkami. Wymieniano nawet restaurację, z któ-



Scena z rozruchów lutowych w Funchalu.

rej te nieodzowne akcesorja wszelkich konferencyj wprowadzano.

Z racji obfitej konsumpcji w miejscu narad, wróznono sobie, że „strony“ rychło dojdą do porozumienia. Jak na tym interesie miał wyjść „povo“, nie mówiono, gdyż w owym czasie większość demonstrantów już mało interesowała się istotą sprawy. Prostu znudzono się strajkiem i ustawicznym „pętaniem się“ po ulicach. Re-

wolucja poczyniała stawać się nudna, a to było dla niej wyrokiem zagięty.

Dnia 11-go lutego było już „po wszystkim“. W starej cytadeli z XVII wieku urzędował specjalny delegat rządu, pułkownik Silva Leal, który zaraz w pierwszym swoim rozporządzeniu udzielił gubernatorowi José Maria Freitas'owi ciepłej pochwały, przyjmując jednakże jego dymisję. Jeszcze tego samego dnia mieszkańcy Funchalu dowiedzieli się, że nowym panem wyspy został mianowany kapitan Artur de Almeida Cabaço, pełniący dotychczas funkcję dowódcy bataljonu w 5-ym pułku strzelców pieszych, oraz że każde wykroczenie przeciw porządkowi publicznemu ulegnie surowej karze. Wykonanie sławnego dekretu, nakładającego wysokie cło wwozowe na zboże i mąkę zostało wstrzymane aż do czasu rozważenia słuszných życzeń ludu.

Do Lizbony pomknęły depesze radjowe i kablowe, obwieszczając radośnie: „Na Maderze zapanował spokój“.

ROZDZIAŁ IX.

WYPRAWA NA WYSPĘ PORTO SANTO.

Czterdzieści dwa kilometry na północny wschód od Madery, a siedemdziesiąt od Funchalu leży maleńka wysepka Porto Santo. Mierzy ona zaledwie 50 kilometrów kwadratowych powierzchni (długość 11 km, szerokość — 6 km), a ludność jej nie przekracza półtora tysiąca głów.

Gdy w roku 1419 przybył na nią, przygnany burzą, żeglarz portugalski Gonçalves Zarco, wysepka była bezludna. Uszczęśliwiony odkryciem, Zarco pozostawił na lądzie kilkanaście par królików, aby rozmnożyły się i mogły stać źródłem świeżego mięsiwa dla przyszłych mieszkańców, poczem odjechał do Portugalji. Po niespełna

dwóch latach powrócił, uzyskawszy przedtem zezwolenie królewskie na skolonizowanie odkrytej wysepki. Oczekiwała go na niej przykra niespodzianka. Oto króliki, które pozostawił, rozmnożyły się w sposób tak niebywały, że cała roślinność wysepki padła ofiarą ich żarłoczności. Gonçalvez Zarco musiał puścić wówczas na wyspę psy, które znaczną część królików wymordowały. Ten epizod z królikami zmusił odkrywcę do założenia pierwszej osady nie na Porto Santo, która została zaludniona dopiero w latach następnych, lecz na odkrytej nieco później Maderze.

Pierwszym gubernatorem nowego dziedzictwa korony portugalskiej był niejaki Bartłomiej Perestrello. Z jego to wnuczką ożenił się i na Porto Santo spędził miodowe miesiące Krzysztof Kolumb, znakomity odkrywca Ameryki.

Potomkowie pierwszego gubernatora wysepki, spowinowaceni z Kolumbem, mieszkają dotychczas na archipelagu Madery. W Funchalu posiada skład przyborów fotograficznych niejaki M. O. Perestrello, który twierdzi, że jest potomkiem Bartłomieja, ergo — kuzynem Krzysztofa Kolumba.

Pomimo tak świetnych koligacji, M. O. Perestrello nie ma w sobie nic z odkrywcy, czy też konkwistadora. Jest to poprostu starszy pan, który lubi dobrze zjeść i dobrze wypić. Zresztą, nie jest stwierdzone, czy i Krzysztof Kolumb nie lubił tego samego.

— Proszę pana — zapytałem pewnego razu Perestrellę wprost — czy pan jest kuzynem odkrywcy Ameryki?

Perestrello kiwnął głową.

— Tak — odrzekł — jestem, ale to stare dzieje.

— Ja myślę, że stare. Powiedz mi pan jednak, czy nie ma pan jakich pamiątek po tym swoim znakomitym koligacie?

— Nie, panie, nie mam nic.

— Szkoda. A na wyspie Porto Santo, czy też nikt nic nie ma?

Perestrello znowu odpowiedział przecząco, ale po chwili zastanowienia dodał:

— Na Porto Santo stoi jeszcze dom, w którym Krzysztof Kolumb mieszkał.

Dom Krzysztofa Kolumba! Właśnie chęć zobaczenia tego domu skłoniła mnie do opuszczenia wygodnego hotelu w Funchalu i udania się na maleńki, napół pusty lądek, drzemający w gorącym słońcu podzwrotnikowym, na wielkiej pustyni wodnej — na Atlantyku.

Pewnego dnia wsiadłem na niewielki statek brzegowy o szumnej nazwie *Gavião* czyli „jastrząb“, który w przeciągu kilku godzin miał mnie dostawić do Villa'i, jedynej miasteczka na wyspie.

Trudno powiedzieć, aby jazda *Gavião'nem* była przyjemna. Nie była ona nawet znośna, słowem — była to jazda okropna.

Pocziwy Atlantyk, pełen pobłażliwości dla okrętów wielkich, wyprawiał z nami jakieś nieprawdopodobne figle. Raz wypychał nas na grzbietach fal gdzieś pod niebiosy, to znowu wciągał w głębokie przepaście, po których obu stronach piętrzyły się potężne, ruchome zwały wód.

Okręciak przechylał się na boki, wprzód, wtył, a ponadto wykonywał ruchy z góry nadół i z dołu do góry. Łatwo sobie wyobrazić, jak w takiej sytuacji czuł się mój żołądek, a w dalszej konsekwencji — również i ja.

Gdyby mi kto wówczas obiecywał, że na moją dolarówkę padnie główna wygrana — nie wiem, czy zgodziłbym się przedłużyć tę jazdę. Zresztą, możebym się i zgodził.

Na całej Porto Santo niema ani jednego portu. *Gavião* zatrzymał się w zatoczce i zarzucił kotwi-

cę w odległości kilometra od brzegu. Przywiezione towary i jedyne go pasażera w mojej osobie wpakowano do dużej łodzi i podwieszono pod brzeg. Myliłby się jednak ten, kto by przypuszczał, że łódź mogła podpłynąć aż do suchego gruntu. Ze względu na płytkość wód przybrzeżnych, trzeba wysiadać na morzu i brnąć kilkanaście kroków po pięknej, piaszczystej plaży. Ludzie, lubiący wygodę, siadają wioślarzom okrakiem na karkach i są przenoszeni w ten sposób na ląd.

Rzuciwszy okiem na ubogą, wysuszoną przez słońce roślinność, na gołe skały i piaszczyste diuny, na których sterczało żałośnie kilkadziesiąt domów — zdumiałem się nad tem, jak można tutaj mieszkać przez całe życie i czuć się szczęśliwy. A śnać mieszkańcy wysepki czują się na niej dobrze, skoro jest ona już od 510 lat, to znaczy nieomal od dnia swego odkrycia stale zamieszкана.

Jak przewidywałem jeszcze w Funchalu, „stolica“ Porto Santo była mocno nieciekawa. Paruset mieszkańców, którzy zajmują się uprawą winnej latorośli i rybactwem, oszołomionych przyjazdem „estrangeiro’a“, który wszędzie łązi i wszystko fotografuje, zdradziło niezwykle poruszenie.

Domysłem o celu mego przybycia nie było końca, aż wreszcie ktoś puścił wieść, że zbieram materiały, potrzebne do poczynienia wstępnych kroków do budowy portu. Oczywiście, głodnemu chleb na myśli.

Dziwiono się tylko, dlaczego prace portowe mają wykonywać właśnie Polacy...

Nie wierzono zupełnie, gdy mówiłem, że znalazłem się na wyspie jedynie z chęci zobaczenia ruin domu, w którym ongiś spędzał miodowe miesiące niejaki K. Kolumb.

Odnalazłem wreszcie ów dom, Stoi on w małej

wiosce, w pobliżu kościołka i przedstawia obraz zupełnej ruiny.

Wprawdzie, zbudowane solidnie ściany trzymają się jeszcze dobrze, ale wewnątrz zasypane jest porujnowanemi sufitami i resztkami dachu. Przy pewnym nakładzie pracy możnaby go jeszcze odrestaurować i zachować na długie lata, ale ponieważ o konserwowaniu go nikt nie myśli, przeto można przypuszczać, że już rychło zniknie z powierzchni ziemi.

Stałem przed tym niemym świadkiem wesela i miłości wielkiego człowieka, którego odkrycia ustanowiły dla ziemi nową, pełną chwały erę, spoglądając nań ze wzruszeniem. Myślałem o tej odległej przeszłości, gdy wśród zasypanych dzisiaj gruzem komnat rozlegał się głos Krzysztofa Kolumba.

Jak czuł się tutaj, na tym małym lądku, w kamiennym domu, ów duch olbrzymi, który wylatywał daleko poza widnokrąg swoich współczesnych?

Czy był szczęśliwy?

O czym dumał, patrząc na puste diuny i otwarte, błękitne morze?

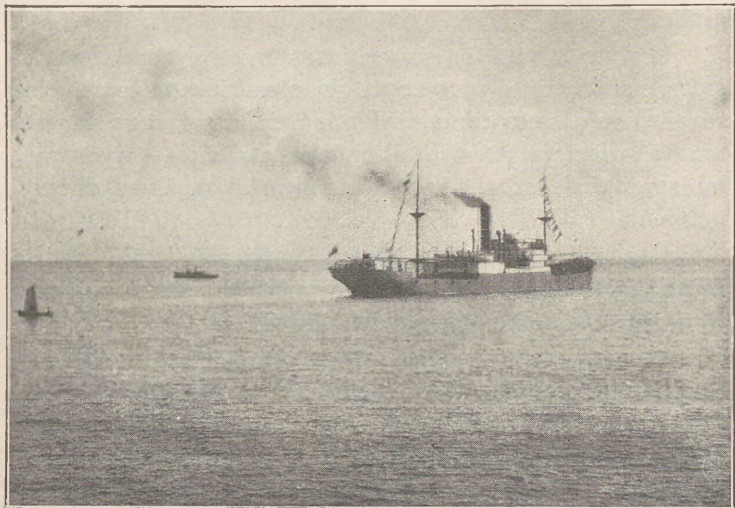
Kamienie są dobrymi stróżami. Strzegą tajemnic lepiej od wszelkich innych straży, nie zdradzają szeptów z nocy poślubnej, ani późniejszych rozmów między małżonkami...

R O Z D Z I A Ł X.

OKRĘT POLSKI „NIEMEN“ W FUNCHALU.

Prasa polska i portugalska zapowiedziała przybycie na Maderę w połowie lutego okrętu polskiego „Niemen“, który odbywał podróż z Anglii do Colon w Argentynie.

Chociaż w czasie oczekiwania, które trwało dość długo, mogłem przywyknąć do myśli o przybyciu tego zwiastuna polskiej dzielności ekonomicznej, to jednak, gdy dnia 14 lutego, wyrzawszy przez okno, dostrzegłem na błękitnej zatoce Funchalu smukłą sylwetkę okrętu,



Polski okręt handlowy „Niemen” na wodach zatoki w Funchalu.

na którego rufie trzepotały się polskie barwy, doznałem uczucia dziwnego wzruszenia i radości.

Biegiem poskoczyłem po dr. Woyczyńskiego i razem, niezwłocznie, udaliśmy się małą łódeczką na pokład polskiego parowca.

W czasie swych dziesięcioletnich podróży po odległych lądach, pierwszy raz dopiero udało mi się widzieć polskie barwy, zaniesione tak daleko.

Wchodząc setki razy na okręty cudzoziemskie, nie doznawałem nigdy tego wrażenia, jak teraz, gdy z ust przechylonego przez burtę marynarza padło ku mnie polskie słowo.

Skromny „Niemen“ wydał mi się forpocztą potężnej „armaty wodnej“, która kiedyś, może niedługo, zanieśie imię polskie i jego chwałę na najdalsze krańce globu.

Myśląc o tem, że ja, człowiek młody, pamiętam jeszcze nicość mojej ojczyzny i jej okrutne poniżenie, i że również ja jestem teraz świadkiem jej rosnącego znaczenia w świecie i jej prężności wewnętrznej — wydawały mi się największe nawet niemożliwości możliwe do wypełnienia.

Kto wie, czy ten skromny „Niemen“ nie będzie w przyszłości woził polskich towarów do ziemi polskiej, wydartej czarnemu, gorącemu lądowi?...

Wchodzimy na pokład. Przy schodach wita nas oficer, pełniący służbę. Komendant statku, kapitan wielkiej żeglugi Leon Rusiecki, był nieobecny. Wyszedł właśnie na ląd, celem zameldowania się Marszałkowi Piłsudskiemu.

Dzięki uprzejmości kpt. Witolda Karpowicza obejrzeliśmy okręt dokładnie. Nie jestem marynarzem, a chociaż spędziłem na morzu niejednokrotnie całe miesiące, nie potrafiłbym opisać tych różnych ciekawych szczegółów, jakie na takim transportowcu jak „Niemen“ opisaćby należało. Jedno mi tylko utkwiło w pamięci: na okręcie panowała wzorowa czystość i porządek. Nawet hala maszyn, w której utrzymanie ładu musi kosztować немало pracy, świeciła się od czystości.

Podczas gdy z plk. Woyczyńskim zwiedzaliśmy okręt, kpt. Rusiecki zgłosił się do willi Marszałka Piłsudskiego i złożył swój bilet. Wkrótce potem powrócił

do portu, gdzie spotkał się z nami. Razem udaliśmy się na kieliszek madery.

Siedząc już w barze, wszczęliśmy rozmowę na temat podróży „Niemna“.

— Jesteśmy już — opowiadał kpt. Rusiecki — sześć dni w drodze, a przed sobą mamy jeszcze dwadzieścia.

— To znaczy — zapytałem — dokąd jedziecie?

— Do Argentyny, do małego portu Colon, położonego nad rzeką Urugwajem — odrzekł kapitan.

— Ho, ho, to ładny kurs — zdziwił się dr. Woyczyński.

— Jestem pierwszym kapitanem polskim, który prowadzi okręt tak daleko — odrzekł na to z dumą komendant „Niemna“.

Z dalszej rozmowy okazało się, że okręt polski uprawia tak zwaną „dziką żeglugę“, to znaczy nie posiada stałych rejsów, lecz jedzie tam, dokąd uda mu się dostać ładunek.

Ostatnie pół roku krążył on stale między Anglią i Hiszpanją, teraz wypuścił się dalej.

Wiózł węgiel i „drobnicę“ dla olbrzymiej bójni bydła rogatego, w której, podczas „kampanji“ idzie pod mechaniczny nóż około dwóch tysięcy sztuk wołów i krów dziennie.

Wieczorem zaprosiłem kolegów - oficerów na ląd, na wino. Zjawili się ich siedmiu.

Pomimo tego, że polska marynarka handlowa jest bardzo młoda, to jednakże skład oficerski „Niemna“ odbył w sumie takie mnóstwo podróży, że nawet w mojej podróżniczej głowie zakręciło się porządnie.

I tak, na przykład, kpt. Rusiecki powiada:

— Funchal, to już mój trzechsetny port, który odwiedzam.

A porucznik Traczewski :

— Z murzynami w Kongo, to jest tak...

I tu następuje szczegółowy opis sposobu postępowania z kobietami, który por. Traczewski stosował w tym kraju podobno z powodzeniem.

Kapitan-mechanik, Paweł Karpejczyk, zwierzał się znowu ze swojego dawnego życia.

— Dziesięć lat, pan — mówił akcentem kresowym — ja jeździwszy z Odesa do Chin.

— A ja, panie kapitanie — odezwał się młody oficer ze szkoły tczewskiej — przez ładnych parę lat jeździłem na francuskich okrętach do Afryki i Ameryki.

Najwięcej „zielony“ z tych marynarzy znał już wszystkie kraje bałtyckie, Anglję, Francję, Holandję, Portugalję, kraje Śródziemnomorskie i Afrykę północną. Nie wyrażali się oni jednak o swoich podróżach z wielkiem uznaniem.

— To bujda, panie kapitanie — mówili — że marynarz podróżuje. My widzimy podczas swoich wypraw tylko pokład, wodę i niebo. Zaledwie przybijemy do lądu, a już trzeba ruszać dalej. I nigdy nie starcza czasu na zobaczenie czegoś więcej, jak portu, a w nim kilku knajp.

„Niemen“ rozpoczął ładowanie węgla następnego dnia świtaniem i skończywszy tę przykrą pracę, w czasie której ostry pył węglowy przenika w najdrobniejszą szparę, począł się sposobieć do odjazdu.

Opuszczając port, kapitan Rusiecki wystosował radjodepesę z własnej stacji nadawczej do Marszałka Piłsudskiego, w której złożył mu w imieniu swoim i swojej załogi wyrazy hołdu.

Stojąc na molu w Funchalu, długo jeszcze patrzyłem wślad za tym skrawkiem Polski, torującym sobie żmudnie drogę przez ultramarynową pustynię wodną ku obcym, dalekim lądom.



Załoga „Niemna”, wygrzewająca się w słońcu Madery.

Myślałem o tem, że może to właśnie my, Polacy z pierwszej połowy XX wieku, staniemy się przodkami licznych pokoleń żeglarzy polskich, których plemię nasze dotychczas nie wydawało.

ROZDZIAŁ XI.

LISTY Z FUNCHALU DO POLSKI.

Epidemja w Funchalu.

2 luty.

Podła grypa trafiła już bodaj wszędzie. Nawet tutaj, w jednym z najzdrowszych kątów świata, pokazała swoją złośliwą twarz.

Przybyła zapewne z Lizbony, gdzie połowa ludności położyła się do łóżek, a termometrów zabrakło w aptekach.

Delikatni z natury Maderczycy okazali się nadzwyczaj na zarazę wrażliwi i, idąc za wzorem swoich stołecznych rodaków, poczęli chorować jeden po drugim. Przez pewien czas apteki robiły kokosy na pastylkach „zapobiegających zaziębieniom“, pisma — na ogłoszeniach aptek, doktorzy zaś na całej ludności. Turystów ubyło, a tym, którzy pozostali, spadły nosy na „kwintę“, słowem, w Funchalu zrobiło się zamieszanie.

Zaraza, nawiasem mówiąc o przebiegu bardzo lekkim, buszowała po całej wyspie, siejąc grozę i przerażenie. Nie ominęła i cichej uliczki, przy której wznosi się willa w ogrodzie, zamieszkała przez Marszałka Piłsudskiego. Nie tknęła na szczęście osoby Marszałka, kiwnęła jednak palcem na pokojówkę Georginję.

Dziewoja ta, przypominająca do złudzenia warszawskiego „kocmołucha“, położyła się do łóżka, odbierając swoją chorobą sen doktorowi Wołczyńskiemu, który lękał się, aby zaraza nie zapukała i do drzwi Marszałka.

Jednak grypa nie panoszyła się w Funchalu długo. Jak nagle się zjawiała, tak i nagle umknęła. Nie znalazła widocznie odpowiedniego pola do popisu. Wyniosła się stąd jak niepyszna, zwalczona przez jasne, pocziwe słońce i przejrzyste, jałowe wprost powietrze.

Jak w angielskiej powieści...

3 luty.

Czytamy sobie nieraz w angielskich powieściach, że taki to, albo inny miljoner wyjeżdża w podróż własnym jachtem. Niekiedy widzimy taki wyjazd w kinie. Wydaje się to nam takie jakieś odległe i „książkowe“, że

nie uprzytomniamy sobie nawet, ile to może kosztować kupno i utrzymanie własnego okrętu. Przechodzimy nad tem do porządku dziennego tak niefrasobliwie, jak czynimy to wobec małżeństwa pokojówki z miljardерem w filmie amerykańskim. Nawet się takiej podróży zbytnio nie dziwimy.

Inaczej jednak sprawa przedstawia się wówczas, gdy to samo zobaczymy „własnymi“ oczami. Wierzyć się biednemu Polakowi nie chce, że to nie bajka...

Taki prywatny, spacerowy okręcik przyjechał sobie właśnie przed tygodniem do Funchalu. Stałem w chwili jego przybycia nad zatoką, która wyglądała wówczas, jak piękny, spokojny staw, wypełniony po brzegi przezroczystą, zieloną wodą.

Sliczny okręcik, pomalowany na biało, wyglądał jak powiększona o krocie zabawka dziecięca. Zatrzymał się o jakieś sto metrów od brzegu. Po chwili odbiła od niego mała motorówka i podjechała do mola. Wyszła z niej młoda, najwyżej dwudziestokilkoletnia dziewczyna i udała się do miasta.

Była to właścicielka tego jachtu i jego jedyna pasażerka...

W kilka dni potem okręcik opuścił Funchal i udał się w kierunku Teneryfy, jednej z wysp Kanaryjskich.

Morderstwo!

4 luty.

W dzielnicy, w której mieszka Marszałek Piłsudski popełniono morderstwo!

Nieznani sprawcy zakradli się w nocy do dwu starszuchów, mieszkających w samotnej chatce i zamordowali ich tępymi narzędziami. Nieszczęśliwych znaleziono następnego dnia w kałużach krwi bez życia.

Zniknięcie z domu wszystkich cenniejszych przedmiotów wskazywało nieomylnie, że mordercy byli zwykłymi rabusiami, choć najznacniejszego łupu, dwunastu tysięcy eskudów, schowanych w książce, opisującej żywoty świętych, nie znaleźli.

Morderstwo na Maderze należy do rzeczy bardzo rzadkich i niezwykłych. Najstarsi ludzie (mają oni, jak wiadomo, pamięć zwykle dość słabą), nie pamiętają podobnego wypadku. Nic też dziwnego, że wieść o tem niesłychanem wydarzeniu poruszyła cały Funchal, a policję „postawiła na nogi“.

— Nie da pan wiary — zwierzał mi się szef policji miejscowej, p. Avelino Pereira — jak jesteśmy tą sprawą przejęci i ile wysiłków dokładamy, aby ją rozjaśnić.

— No, a jakże śledztwo — zapytałem.

Szef policji rozłożył ręce bezradnie.

— Narazie jesteśmy „w lesie“.

Ale ponieważ w rzeczywistości byliśmy nie „w lesie“, lecz w knajpie, przeto wypiliśmy po kieliszku madery na pomyślność dochodzenia.

Kto wie, może to poskutkuje...

Marszałek Piłsudski opowiada.

5 luty.

Marszałek Piłsudski odpoczął już zupełnie.

Widać to po jego zachowaniu się, w którym znikło bez śladu zmęczenie, rzucające się w oczy poprzednio. Dzisiaj jest on ożywiony, pełen energii i życia.

Słońce przyciemniło mu cerę, co szczególnie podkreśla kontrast z siwizną włosów, brwi i wąsów. Klimat, wpływający nader dodatnio na przemianę materji, ujędrnił całą jego postać i nadał jej jeszcze bardziej

dziarski wygląd, którym, zresztą, Marszałek Piłsudski zawsze się odznaczał.

Swego sposobu spacerowania, polegającego na chodzeniu na małych przestrzeniach, nie zmienił, ale w ruchach jego widać teraz swobodę i elastyczność.

Najbardziej kompetentnym do wydania sądu o obecnym stanie zdrowia i samopoczuciu Marszałka Piłsudskiego jest oczywiście pułkownik dr. Marcin Woyczyński, który towarzyszy mu stale, dzień w dzień, już od szeregu lat.

Chcąc upewnić się, czy moje spostrzeżenia są trafne, zwróciłem się z tem do niego.

— Tak, to prawda — rzekł dr. Woyczyński — Marszałek Piłsudski czuje się w tutejszych warunkach klimatycznych doskonale. W szczególności cieszy mnie zanik w jego organizmie częstych w Polsce katarów i skłonności do przeziębień. Niewątpliwie pobyt na Maderze wpłynie, a właściwie już wpłynął bardzo dodatnio na ogólny stan zdrowia Marszałka.

Po zdobyciu tych cennych wyjaśnień, począłem prosić dr. Woyczyńskiego o inne szczegóły, dotyczące człowieka, którym interesuje się cały świat.

— Czy nie zauważył pan doktor — zapytałem — jakichś zmian zewnętrznych, wynikających z tej świetnej reakcji organizmu Marszałka na klimat pięknej Madery?

Doktor Woyczyński przez chwilę zastanawiał się, poczem rzekł z uśmiechem:

— Owszem, zauważyłem. Od pewnego czasu Marszałek stał się znacznie rozmówniejszy, aniżeli był nim dawniej. Opowiada dość chętnie ciekawe szczegóły ze swego bogatego życia. W Polsce, przytłoczony nadmiarem wyczerpującej, uciążliwej i gorączkowej pracy, nigdy w ostatnich czasach takim nie był.

Chciałem już wyeksploatować pułkownika do końca, więc nie dałem mu jeszcze spokoju.

— W Polsce ucieszyliby się ludzie — rzekłem — gdyby mogli wiedzieć, o czym też tak naprzykład opowiadał Komendant panu pułkownikowi.

Pułkownik Woyczyński był w dobrym humorze (słoneczko grzało właśnie przymilnie, igrając sobie filuternie na butelczynie wonnej madery, która stała przed nami na stoliku), więc też nie pominął mego pytania milczeniem.

— O niedźwiedziach — odrzekł krótko.

— O czym?!

— O niedźwiedziach — powtórzył pułkownik spokojnie.

Spojrzałem na swego rozmówcę podejrzliwie, myśląc, że może sobie ze mnie pokpiwa. Ale nie — wyraz twarzy miał poważny.

— Jak to było, panie pułkowniku — począłem prosić — niech pan pułkownik opowie.

Pułkownik kiwnął głową.

— Dobrze — rzekł — opowiem, tylko miejsce sobie zmienię, bo to lutowe maderskie słońce coś zanadto przygrzewa.

Usiadł w cieniu i począł mówić:

— Siedziałem właśnie z Komendantem w ogrodzie, gdy rozmowa zesła na polowanie. Mówiliśmy o tem, że zwierzęta tak zwane „drapieżne“ nie są zbyt agresywne i że naogół chętnie ustępują człowiekowi z drogi. Przy tej okazji Komendant począł opowiadać o niedźwiedziach syberyjskich, które sam miał sposobność podczas wygnania widywać. Opowiedział też pewną anegdotę, którą słyszał na Syberji.

— Pewnego razu — mówił Komendant — poszedł chłop rosyjski z synami do tajgi po drzewo. Innej broni, oprócz siekier, nie mieli. W czasie roboty natknęli się na niedźwiedzia, który uniósł się na tylne łapy i począł ku nim zbliżać. Synowie, jako młodsi, zdołali uciec. Oj-

ciec pozostał, a widząc, że niema innej rady, schronił się za jedno z najbliższych drzew, mając nadzieję, że może zwierz go nie zauważy i pójdzie spokojnie dalej. Jednak niedźwiedź nie minął go, lecz podszedł pod drzewo i sięgnął po chłopą łapą. Człowiek przesunął się. Niedźwiedź obchodził drzewo, starając się dosięgnąć człowieka; człowiek przesunął się znowu. Powstało coś w rodzaju gry „w chowanego“, aż wreszcie zniecierpliwiony niedźwiedź objął niezbyt gruby pień obu łapami, chcąc w ten sposób chłopą schwycić. Wtedy chłop chwycił te łapy i przytrzymał. Niedźwiedź począł ryczeć, ale pozbawiony możliwości wykorzystania swej siły, stał w tej pozycji unieruchomiony. Chłop począł wówczas nawoływać synów. Po pewnej chwili podszedł jeden z nich z siekierą w rękę.

— Podejdz bliżej — rzekł chłop — i zabij niedźwiedzia.

— Boję się — odpowiedział syn.

Napróżno ojciec namawiał go, aby podszedł do niedźwiedzia i zadał mu cios. Syn bał się.

— No, to chodź — rzekł wreszcie chłop — potrzymaj niedźwiedzia, a ja go zabiję.

I syn przytrzymał niedźwiedzia.

Tymczasem chłop, uwolniony z opresji, począł jak najspokojniej oddalać się od fatalnego miejsca.

— Ojcie! — wrzasnął przerażony syn — czemu nie zabijasz niedźwiedzia?

— Mam czas — odrzekł na to chłop — a ty poznaj, jak to nieprzyjemnie trzymać zdrowego niedźwiedzia za łapy...

Na zakończenie zapytałem jeszcze dr. Woyczyńskiego, jak się czuje on sam.

— Ano, niech pan przypatrzy mi się dobrze — rzekł.

Czerstwa cera, wesoły uśmiech i jasne spojrzenie mówiły aż nadto wyraźnie, że pobyt na Maderze służy doktorowi świetnie.

Historja „zaginięcia“ szabli Marsz. Piłsudskiego.

6 luty.

Historja „zaginięcia“ szabli Marszałka Piłsudskiego zaczęła się od kategorycznego stwierdzenia przez prasę lisbońską, że szabla zginęła podczas podróży z Warszawy na Maderę. Wiadomość tę podchwyciły w swoje ręce wielkie agencje telegraficzne i poczęły nią po swojemu żonglować. Depesze o tem zdarzeniu rozbiegły się na falach krótkich i długich po wszystkich kontynentach i po wszystkich bodaj krajach. Dzienniki, drukowane w setce języków i odbijane w milionach egzemplarzy, rozniosły tę wieść do najbardziej nawet zapadłych kątów globu.

Stało się to jeszcze w grudniu i trwało krótko. Fałszywy wyrostek wypalił się. Po kilku dniach wszystko ucichło i zdawało się, że nikt więcej już o tem nie będzie wspominał, ale gdzie tam...

W miesiąc później wiadomość odrodziła się. Dla czego — tego na pewno nikt nie wiedział. Dość, że znowu zadrgały fale: „Policja międzynarodowa, jak również policja portugalska i hiszpańska dokładają wszelkich starań, aby odnaleźć zrabowaną szablę Marszałka Piłsudskiego“.

Na Maderze poczęli mnie ludzie pytać, co słysząc z szablą? Jak ta szabla właściwie wygląda? Czy rękojeść ma wysadzaną brylantami, czy też tylko szafirami?

I znowu ucichło.

— No, tym razem — pomyślałem sobie — to już chyba koniec z historją o szablí.

Rachuby ludzkie zawodzą jednak często. Zawiodły mnie i teraz. Nie wziąłem pod uwagę cierpliwości dziennikarskiej, która, jak to okazało się na tym przykładzie, jest niewyczerpana.



Autor używa sportu saneczkowego po wyszlizganych brukach Funchalu.

W ostatnich dniach znowu zaczęto pisać o tem, że „sprawę zaginięcia szabli Marszałka Piłsudskiego komentuje żywo prasa amerykańska“. Poprostu nie mogłem wziąć do ręki pisma portugalskiego, aby nie natknąć się na historję o szabli.

To uporczywe zainteresowanie się gazet skłoniło mnie do zbadania sprawy gruntownie i przekonania się, ile w tem wszystkiem jest prawdy.

Po krótkiem dochodzeniu okazało się, że w całej pogłosce prawdy było niewiele.

Szabla wcale nie zginęła, nikt jej nie ukradł, ani też nie zamierzał ukraść, tylko poprostu pozostała przez zapomnienie w polskim wagonie salonowym, którym Marszałek Piłsudski przybył do granicy Hiszpanji.

Konduktor polski, który opiekował się rzeczami, zapomniał przenieść ją do salonki hiszpańskiej, wobec czego szabla spokojnie wróciła do Warszawy.

Narazie nikt jej braku nie zauważył. Pociąg wiozący Marszałka Piłsudskiego przebył Pireneje, północną Hiszpanję, wjechał do Portugalji i wciąż jeszcze nie przyszło nikomu do głowy zainteresować się szablą. Dopiero przed samym przyjazdem do Lizbony, gdzie miał oczekiwać na stacji minister spraw wojskowych i minister spraw zagranicznych, a więc zachodziła konieczność przygotowania odpowiedniego stroju, poczęto poszukiwać szabli. Oczywiście — na próżno.

Tymczasem Marszałek ubrał się w mundur i zapiał pas.

— Gdzie moja szabla? — zapytał, nie widząc jej nigdzie koło siebie.

Szabli nie było.

Zrobił się gwałt. Jeszcze raz przeszukano wagon, ale, oczywiście, bez rezultatu. Szabla przepadła, jak kamień w wodzie i Marszałek musiał wysiąść na peron w Lizbonie bez broni bocznej.

Stąd powstała pogłoska o „zaginięciu“, czy też skradzeniu szabli Marszałka Piłsudskiego. Obiegła ona cały świat i powróciła w formie echa do tego samego miejsca, skąd wyszła.

Fotografia, którą dziennikarze zrobili na dworcu w Lizbonie, a na której Marszałek stoi w towarzystwie ministrów portugalskich, bez szabli, służyła za rzekomy „dowód“ jej zrabowania.

Obecnie szablę tę, która narobiła tyle zamieszania w świecie, już dawno odesłano z Warszawy do Funchalu,

gdzie stoi sobie niewinnie w kącie marszałkowskiej sypialni. A co najciekawsze, to fakt, że przedmiot tak szerokiego zainteresowania jest sobie niezwyklejszą oficerską szablą bez djamentów, czy też szafirów na rękojeści.

Marszałek Piłsudski, gdy się dowiedział o szerokim „komentowaniu” sprawy jego szabli, śmiał się serdecznie i, swoim zwyczajem, nie polecił dawać żadnych sprośowań.

U grobu Karola Habsburga.

17 luty.

W pobliżu Funchalu, stolicy wyspy Madery, znajduje się kościół pod wezwaniem *Nossa Senhora do Monte*. Wybudowano go w roku 1700, wysoko (580 m) ponad zatoką, przy słynącym cudami źródle.

Od dwustu przeszło lat wzywa on głosem dzwońców pobożny lud Madery na nabożeństwa. Nawet w najdalszych zakątkach wyspy składają wierni śluby pomodlenia się przed jego ołtarzami wzamian za okazanie łaski. O cudach i „odmianach”, okazanych przez Najświętszą Panienkę Górską, opowiadają sobie dużo pod trzciniwymi strzechami wieśniaczami.

Murom tej sędziwej świątyni powierzyła ex - cesarzowa Zyta doczesne szczątki swego męża, ostatniego cesarza Austrii, Karola Habsburga, który zmarł w Funchalu na wygnaniu.

Pewnego dnia postanowiłem zwiedzić kościół i zobaczyć sławny grób. Z Funchalu można dotrzeć do niego samochodem, lecz ja chciałem zakosztować egzotyczniejszego środka lokomocji i udałem się w drogę sankami, ciągniętymi przez dwa wołki.

Przez dobrą godzinę jechaliśmy pod górę. Porządna szosa pięła się serpentynami, przecinając nieskończenie

długie przedmieścia Funchalu. Po obu jej stronach widniały niewielkie, białe domki, otoczone gajami bananów, winnicami i pólkami trzciny cukrowej. Wszędzie panożyła się bujna zieleń i pstrzyły się kwiaty. Słońce, drwiąc z kalendarza, który wyraźnie wskazywał: „miesiąc luty — zima“, grzało mocno, złocąc góry i rozpalać do białości niebieszczące się wdole morze. W koronach drzew smoczyc i laurów śpiewały małe, szare ptaszki, w powietrzu unosiła się charakterystyczna dla krajów tropikalnych cisza, przerywana jedynie ćwierkaniem owadów.

Stanęliśmy wreszcie przed kościołem. Niewołany, zjawił się jakgdyby z pod ziemi, zakrystjan:

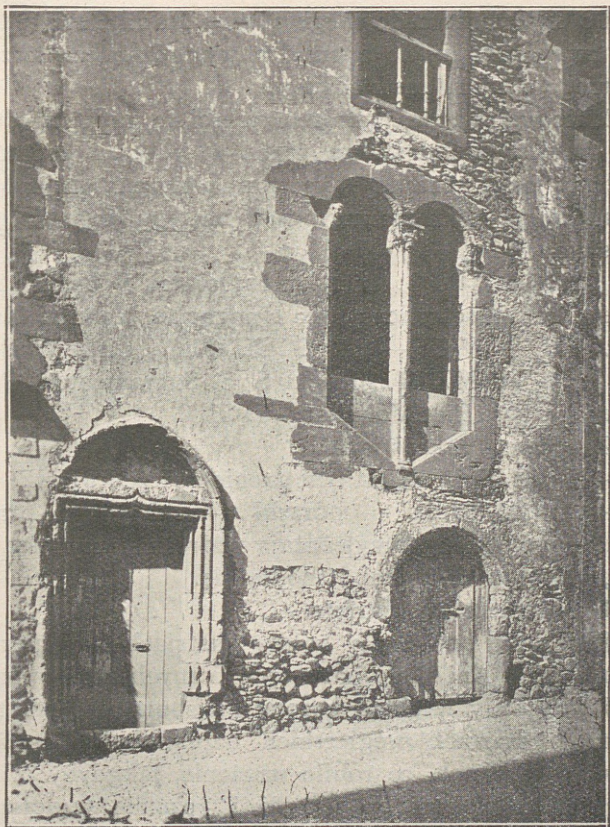
— Czy mam otworzyć kościół? — zapytał.

Kiwnąłem głową.

— Tak. Chciałem zobaczyć grób cesarza austriackiego.

Zakrystjan poskoczył po klucze.

Przyjrzałem się kościołowi zbliska. Jest to budowla solidna i duża. Dwie tępo zakończone wieże i długi kadłub, wlokący się za niemi, to jego główne rysy charakterystyczne. Był on budowany z tem wyrachowaniem, aby panował nad całym Funchalem i zatoką, jednak zbyt wielka wyniosłość, na której stoi, i zbyt małe wymiary budowli sprawiły, że kościół widać wprawdzie z morza i z każdego nieomal miejsca w mieście, lecz, pomimo tego, nie odnosi się wrażenia, aby miał on nad niemi „panować“. Miejsce, na którym się wznosi, jest śliczne. Pełno tam pięknych drzew egzotycznych, kwiatów i zieleni. Z przed jego stóp roztacza się jeden z piękniejszych widoków świata. Wdole, o sześćset metrów niżej, czerwienią się dachy Funchalu, błyszczący ocean ze snującymi się po nim okrętami - zabawkami, a po zboczach gór wije się droga, niby wąż.



Dom Krzysztofa Kolumba na wyspie Porto Santo.

— Proszę pana, kościół już otwarty — przerwał mi rozmyślania zakrystjan.

Wszedłem do wnętrza.

W kościele, jak w kościele, panował półmrok, chłód i wilgoć.

Po obejrzeniu cudownego obrazu Matki Boskiej Górskiej zwróciłem się do bocznej nawy, gdzie leżą szczątki ostatniego cesarza austriackiego.

Małe wgłębienie, w którym mieści się niewielki ołtarz, było zatłoczone mnóstwem wieńców, wstęg i kwiatów... świeżych. Grób znajduje się pod ołtarzem, na którym leży masywna płyta marmurowa z następującym napisem łacińskim:

„Carolus I D. G. Austriae Imperator Bohemiae Rex etc. etc. etc. Apostolicus Rex Hungariae Nomine Natus per.... VII — VIII — MDCCCLXXXV Obiit Madeira I — IV — MCMXXI Adorans S. S. Sacramentum Praesentem Dicens. Fiat Voluntas Tua“.

Zapytałem zakrystjana:

— Skąd biorą się na tym grobie świeże kwiaty?

— Tutaj, panie — odrzekł — z każdego prawie okrętu niemieckiego przyjeżdżają podróżni, przynoszą bukiety, szarfy z napisami i modlą się.

Przyjrzałem się szarfom.

Wszystkie one nosiły kolory austriackie, węgierskie i niemieckie. Ani śladu barw tych licznych krajów, które ongiś wchodziły w skład korony habsburskiej. Na trójbardwych szarfach węgierskich napisy były wyrażane w dwóch językach, co robiło wrażenie, jakgdyby ofiarodawcy nie byli pewni, czy ich „król“ rozumie węgierszczyznę. Wszystkie te napisy, z wyjątkiem jednego, odznaczały się spokojem, smutkiem i godnością. Na tym jednym jedynym wyjątku przeczytałem: „Nie spoczniemy dopóty, dopóki syn Twój nie zasiądzie na tronie ojców swoich“.

Był czas, że tego człowieka, którego szczątki leżały przede mną, nienawidziłem. Było to wówczas, gdy pod butem jego biurokracji jęczało pół Polski. Dzisiaj... Dzisiaj wszystko inaczej. Z imieniem Polski złączyło się słowo — wolność, z imieniem jego — utracona korona, wy-

gnanie, tułaczka i wreszcie śmierć. Karol Habsburg nie budził we mnie w tej chwili innych uczuć, jak tylko litość...

Tragiczna rodzina cesarska nie znalazła ukojenia i spokoju nawet na Maderze, na tej perle Atlantyku, gdzie wszystko zdaje się tak spokojne, ciche, łagodne i dobre. Groźna Nemezis, ścigająca dynastję naddunajską już od wieku, dosięgła ją również na tym małym *lądku*, rzuconym ręką Boga na bezmiar oceanu.

Przedwczesna śmierć ostatniego Habsburga, którego skronie doznały ucisku korony, zdaje się być widowym znakiem kary na ród, który przez wieki ciemnił dziesiątki narodów, pozbawiając miliony ludzi największego skarbu — wolności.

Po 72-u dniach.

25 luty.

Dzisiaj minęło 72 dni od wyjazdu Marszałka Piłsudskiego z Warszawy. Szmata czasu. Dla Marszałka przebiegł na pewno, „jak z bicia strzelił“, dla innych może tak, jak bez bicia...

W ostatnich czasach zastanawiałem się wiele nad tem, czy żywa, czynna natura Józefa Piłsudskiego nie znużyła się już wypoczynkiem i czy nie tęskni do powrotu.

Któż jednak odgadnie, co myśli i czuje człowiek tej miary, co Marszałek?

Zupełnie podobnie jak na drugi dzień po przybyciu na wyspę, tak samo dzisiaj, w 72 dni później, wstaje o 8-ej rano i zaraz po śniadaniu bierze się do pracy.

Tylko dawniej więcej czytał, a teraz więcej dyktuje.

O tej zmianie mogłyby coś powiedzieć palce dr. Woyczyńskiego, który pisze na maszynie pod jego dyktando.

W każdym razie powrót do Polski, a z nim i wspomniany na jednej z sesyj sejmowych przez ministra Składkowskiego „popielec polityczny“ zbliża się już wielkimi krokami.

Marszałek Piłsudski tak się ostatniemi czasy zajął pracą, że nawet zaniechał przeglądania przewodników angielskich i niemieckich, zachwalających rozmaite wdzięki i uroki poszczególnych miejscowości Madery, co dawniej czynił bardzo chętnie. Przestał też wspominać o wycieczkach, które miał zamiar uskuteczyć na samym początku pobytu, a których wykonanie odłożył na koniec.

W ostatnich dniach prasa portugalska doniosła, że Marszałek pisze książkę o bitwie nad Marną. Poglóska ta, powtórzona rzekomo za prasą warszawską, ma niewątpliwie źródło w tem, że Marszałek żądał w swoim czasie nadesłania z Paryża niektórych prac francuskich o tej bitwie. Nie odpowiada ona prawdzie.

Nie jest to wielka sztuka podziwiać Marszałka Piłsudskiego!

Potrafi to każdy, o ile nie posiada złej woli, ale, doprawdy, obserwując jego surowe obyczaje, jego nieugiętą dla siebie samego wolę, jego niezmierną pracowitość — zacząłem uczuwać dla niego coś więcej, aniżeli podziw.

Stawałem się dumny z prostego faktu, że należę do tego samego co i on plemienia.

Iluż to ludzi nawet wielkich, uległoby na jego miejscu pokusie wygody, lenistwa, rozrzutności, czy też innych ponęt, przywiązanych do władzy!

A tymczasem...

Tymczasem śmiem twierdzić, że Józef Piłsudski żyje tutaj skromniej, oszczędniej i pracowiciej od wielu niezbyt nawet wysokich urzędników państwowych.

Jedynym jego luksusem, „wybrykiem“, w czasie tych 72 dni podróży było zażądanie na Sylwestra butelki wi-

na... Ale i to, gdy się dowiedział, że kosztowała aż... 25 złotych, zburczał porządnie dr. Woyczyńskiego, że pozwolił na taką „rozzutność“.

Nieco o teozofji.

3 marzec.

Dzień w dzień przesiaduje Komendant w ogrodzie, w wygodnym, trzcinowym fotelu, a gdy zmęczy się pracą, grywa niekiedy z dr. Woyczyńskim w szachy.

Nie zapomnę nigdy rozradowanej miny doktora, gdy udało mu się raz dać Marszałkowi „mata“. Ale zdarza mu się to niesłychanie rzadko. Marszałek gra w szachy dobrze i zwykle „łupi“ skórę swemu partnerowi bez miłosierdzia.

Podczas rozgrywania partji szachów, przyniosła pewnego razu pokojówka Georginja pocztę z Polski.

Marszałek zaczął tę pocztę przeglądać.

— Co to za lichy! — rzekł nagle, przeczytawszy jeden z listów.

Dr. Woyczyński spojrzał pytająco.

— Macie — rzekł Marszałek — i przeczytajcie.

Doktor Woyczyński przeczytał, pokiwał głową i schował list.

Wkrótce potem zwrócił się z kolei do mnie.

— Przetłumaczcie no to, kapitanie — rzekł.

Był to list, wysłany z Warszawy. Jego tekst, napisany ręcznie w języku hiszpańskim(!), brzmiał jak następuje:

„Prześlij tę lawinę dziesięciu osobom, którym życzysz szczęścia. Ta lawina została zapoczątkowana przez agenta kolejowego i jest przeznaczona do trzykrotnego obiegnięcia świata. Odeślij ją w przeciągu dziewięciu dni od czasu otrzymania i bądź szczęśliwy“.

Pod tekstem widniało kilkadziesiąt podpisów, wśród których nie brakowało nazwisk Brianda, Mac Donalda, Lindbergha, Barrymoora, Henry Forda i t.d.

Kombinowaliśmy z dr. Woyczyńskim długo nad tym listem i wreszcie zgodnie wykrzyknęliśmy:

— Teozofja!

Nie wiem, oczywiście, co Komendant mniema o różnych praktykach i poczynaniach teozoficznych, jednak do „lawiny“ nie okazał najmniejszego zainteresowania. Nawet nie zapytał, co się z nią stało.

Może jednak list teozofa nasunął mu pewne wspomnienie z roku 1905, które w parę dni później opowiedział.

— Było to — mówił Komendant — w czasie rewolucji. Przyjechałem właśnie na krótko do Wilna, gdzie zatrzymałem się u znajomych. Następnego dnia o godzinie 9-ej z minutami rano miałem udać się pociągiem do Grodna. Gospodarz zaofiarował się obudzić mnie o pół do ósmej rano, gdy będzie wychodził do biura. Ponieważ jednak byłem bardzo zmęczony, wolałem nie wstawać tak wcześnie i uprosiłem jego żonę, aby zapukała do moich drzwi o pół do dziewiątej. Miałbym właśnie dość czasu, aby ubrać się, zjeść śniadanie i zdążyć na pociąg. Ubezpieczywszy się w ten sposób przed zaspaniem, położyłem się do łóżka. Nazajutrz zbudziłem się pod wrażeniem, jakgdyby to było już bardzo późno. Spojrzałem na zegarek. Stał. Zdziwiłem się nieco, gdyż byłem przekonany, że go poprzedniego wieczora nakręciłem. Wciąż będąc pod wrażeniem, że to już późno, zapukałem do sąsiedniego pokoju i zapytałem o godzinę. „Niech pan sobie wyobrazi — usłyszałem w odpowiedzi głos gospodyni — nie wiem, co się stało, ale nasz zegar stanął. Zaraz poślę do sąsiadki“. „Przypadek“, pomyślałem — ciągnął dalej Komendant — i począłem ubierać się. Za chwilę usłyszałem przez drzwi znowu głos gospodyni: „Już dziewiąta dochodzi, proszę pana“. Bie-



Widok na miasteczko Camara dos Lobos, położone w odległości 9 km od Funchalu.

giem poskoczyłem na dworzec i... spóźniłem się na pociąg. Zły, jak noc, włóczyłem się przez kilka godzin po mieście w oczekiwaniu na następne połączenie. Po południu poszedłem powtórnie na dworzec i tu powiedziano mi, że pociąg, na który spóźniłem się, rozbił się przed Grodnem. Byli zabici i ranni...

Marszałek Piłsudski zamilkł.

— To się zdarza — mruknął teozoficzno-filozoficznie dr. Marcin Woyczyński, który słuchał tej opowieści.

Trochę geografji...

5 marzec.

Robimy dużo słusznego gwałtu, gdy ktoś przyśle do polski list, zaadresowany np. tak: „Lublin — Rosja“, lub też: „Lemberg — Oesterreich“, ale, okazuje się, sami jesteśmy z geografją trochę „na bakier“. Ciekaw jestem, co myślą sobie Portugalczycy, widząc codziennie mnóstwo listów, nadchodzących do Marszałka Piłsudskiego z takimi np. adresami: „Madera — Hiszpanja“, „Madera — Ameryka“, „Madera — Francja“.

Zdarzają się też adresy zupełnie, w stu procentach, fantastyczne, jak na przykład: „Jaśnie Wielmożny Pan Marszałek Piłsudski na Maderze, osada Angola“, albo: „Kolonja Polska Madera, doręczyć osobiście Marszałkowi Piłsudskiemu“, albo: „Półwysep Madera, miasto Angola (czasem zamiast „miasto Angola“ jest napisane: „willa Angola“) i t. d.

Wogóle z tą Maderą i Angolą, to coś się naszym rodakom grubo miesza.

Nieoceniona instytucja — poczta, doręcza z niezamąconym spokojem te wszystkie horrendy geograficzne do willi Marszałka, często odgadując raczej, a nie odczytując adresu.

Biedny Freitas!

6 marzec.

Operetka rewolucyjna w Funchalu, o której pisałem poprzednio, najsmutniej skończyła się dla gubernatora wyspy, płk. José Maria de Freitas, który witał Marszałka Piłsudskiego w dniu jego przybycia na Maderę.

Rząd lizboński pozbawił go kolejno wszystkich zajmowanych uprzednio godności. A więc najpierw odebrano mu stanowisko gubernatora cywilnego, w kilka dni później wyszedł dekret o mianowaniu na jego miejsce nowego gubernatora wojskowego, aż wreszcie pozbawiono go dowództwa 13 pułku piechoty, które piastował od szeregu lat.

Nadomiar złego, rozeszła się pogłoska o przeniesieniu go na emeryturę...

Biedny Freitas!

Marszałek Piłsudski, gdy dowiedział się o takim całkowitem, bez reszty, wykończeniu niedawnego dygnitarza, rzekł:

— Szkoda. Ten Freitas wyglądał mi pocziwie.

Flota angielska w Funchalu.

7 marzec.

Dwa dni temu zawinęły do portu w Funchalu dwa dreadnaughty angielskie: „Malaya“ i „Warspitt“. Każdy z nich liczy sobie po dwadzieścia siedem tysięcy tonn i po paręset ludzi załogi. W mieście zaroilo się od zgrabnych marynarzy.

Z okazji przybycia floty, odbywa się w Funchalu szereg bankietów, balów, koncertów i innych uroczystości.

Liczna tutaj kolonja anglosaska prześciga się w uprzyjemnianiu pobytu swoim rodakom.

Jakie pisma czytał Marszałek Piłsudski.

9 marzec.

Jeszcze przed wyjazdem z Warszawy Marszałek Piłsudski kazał sobie zaprenumerować na Maderę „Kurjer Wileński” i pismo to stale czytał. Ale pewnego razu dr. Woyczyński nadmienił w rozmowie, że coś tam czytał w „Expressie Porannym”.

— A skąd tu macie „Express”? — zapytał Marszałek.

— Lepecki otrzymuje — odrzekł dr. Woyczyński.

— A to zabierajcie mu go dla mnie.

I od tej chwili Marszałek Piłsudski czytał stale w Funchalu „Express” i „Kurjer Czerwony”.

Ponadto, czytywał również „Kurjer Poranny”, nadsyłany samorzutnie przez redakcję.

Marszałek myśli o powrocie.

11 marzec.

Wprawdzie wypoczynek Marszałka Piłsudskiego na Maderze płynie dotychczas zwykłym trybem, jednak pierwsze zwiastuny powrotu już poczęły się pojawiać.

Zaczęło się od tego, że pewnego dnia Marszałek Piłsudski, siedząc zamyślony w swoim głębokim fotelu koszykowym, odezwał się niespodziewanie w te słowa:

— Trzeba pomyśleć o tem, co przywieźć moim panom z tej wypy.

Jego dobre serce ojcowskie myśli o powrocie skojarzyło najpierw z myślą o rodzinie. O tej rodzinie, do której regularnie, co tydzień, wysyłał obszerne listy na pewno pełne czułych słów miłości.

I zaraz rozpoczęły się długie narady z dr. Woyczyńskim.

— Może strój narodowy wieśniaczkowski maderskiej?

— Nie.

— Może albumy z widokami wyspy?

— Nie.

— A gdyby tak?...

I tu nastąpiło wymienienie pewnej rzeczy, nad którą Marszałek Piłsudski zamyślił się i mruknął:

— Hm!

Wybór został dokonany.

Gdy już raz padło słowo: powrót, Marszałek Piłsudski zdecydował się szybko na kierunek marszruty i niezwłocznie wystosował osobiście depezę do pana premiera Walerego Sławka.

Pierwsze karty imieninowe, wydane przez komitet obchodu, poczęły napływać już z początkiem marca. Dziś mamy dopiero 11-go, a ilość nadesłanych pocztówek imieninowych sięga już tysięcy sztuk.

Ten masowy, stale zwiększający się napływ korespondencji do Marszałka Piłsudskiego, wywołał zaniepokojenie w tutejszym urzędzie pocztowym.

— Proszę pana — zagadnął mnie szef tego urzędu — co to znaczy, że do pana Marszałka *Pilsuki* przychodzi takie mnóstwo jednakowych pocztówek?

Wy tłumaczyłem mu, że to w ten sposób cała Polska czci swego bohatera narodowego, przysyłając mu życzenia imieninowe.

— Aha, rozumiem — rzekł Portugalczyk i po chwili dodał:

— No, to nadejdzie tych pocztówek na pewno z kilkanaście tysięcy.

Roześmiałem się i zrobiłem do niego „perskie oko“.

— A, coby pan, *senhor chefe*, powiedział — rzekłem — gdyby tak nadeszło nie kilkanaście tysięcy, a tak naprzykład... miljon!

Senhor chefe przestraszył się.

— Pan żartuje.

— Owszem, *senhor*, żartuję, bowiem w rzeczywistości jestem pewien, że kart tych przyjdzie nie miljon, lecz co najmniej kilka miljonów.

Poczciarz omal nie zemdłał.

— Panie — wykrztusił wreszcie — muszę natychmiast telegrafować do Lizbony, żeby mi pozwolili zakontraktować personel dodatkowy.

— To będzie bardzo rozsądne z pańskiej strony — pochwaliłem go — gdyż bez dodatkowych sił „stanie“ pan z całą robotą.

Senhor chefe był poruszony do głębi.

— Natychmiast biegnę do telegrafu — wykrzyknął gorączkowo i śpiesznie pożegnał się ze mną.

Już zdaleka widziałem, że łapał po drodze różnych swoich znajomych i podniesionym głosem opowiadał im niezwykle nowinę, machając rękami z żywością, cechującą narody południowe.

Pierwsze wieści o „Wichrze“ na Maderze.

12 marca.

Dnia 7 marca prasa miejscowa pomieściła obszernie wzmianki o mającej nastąpić wizycie polskiego okrętu wojennego w tutejszym porcie. Dziennik *Diario da Madeira* tak o tem, między innemi, pisał:

„Dnia 19 b. m. mają miejsce imieniny Marszałka Józefa Piłsudskiego, ministra spraw wojskowych Polski, który, jak wiadomo, znajduje się wśród nas, na wypoczynku. Jak się dowiadujemy, rząd Polski uchwalił

dać w tym dniu wyraz swej sympatji ku niemu i poza licznymi uroczystościami w kraju, postanowił rzekomo wysłać na Maderę krążownik wojenny, którym miałoby przyjechać szereg wysoko postawionych osobistości ze świata politycznego Polski, celem złożenia solenizantowi hołdu“.

Wiadomość ta, która nadeszła drogą radiową z Anglii, wywołała na wyspie zrozumiałą sensację, tem bar-



Północny brzeg wyspy w okolicach São Vincente.

dziej, że w ostatnich dniach przebywała w Funchalu liczna eskadra angielska, złożona z szesnastu jednostek bojowych, wśród których nie brakowało dreadnaughtów i łodzi podwodnych. Ponadto zawinął tu na krótko w pierwszych dniach marca krążownik szwedzki „Fylgia“. Teraz — miał przybyć okręt wojenny polski! Jak Madera Maderą, tak nigdy jeszcze nie widziała ona tak licznego zbiegowiska flot międzynarodowych.

Zapowiedź przybycia do Funchalu polskiego krążownika, spowodowała dla wyspy i wogóle całej Portugalji nowe objawienie: Polska jest państwem morskiem! Polska posiada własną flotę wojenną!

Wiosna, wiosna!

15 marzec.

Zaczęło się od tego, że na niebie ukazały się chmury, przypędzone przez ostre, aczkolwiek ciepłe poddmuchy wschodniego wiatru. Spadły deszcze, których nie widzieliśmy przez okrągłe dwa miesiące, a ranki stały się równie ciepłe, jak i dnie. Spieczona ziemia odetchnęła, wysuszona roślinność odżyła, a drzewa, które z przyzwyczajenia raczej niż z potrzeby porzucają w jesieni liście, dostały świeżych pączków, nabrzmiewając zielenią coraz więcej.

W ogrodach pojawili się ludzie z łopatami, coś tam pilnie obrabiając; przed domami rozkwitły nowe gatunki róż i gardenij; drzewa figowe i winna latorośl puściły drobne listki; nawet palmy i drzewa smocze wydają się jakgdyby natura oblekła ich znoszoną, całoroczną zieleń w nową barwę.

Słowem — wiosna!

Dziwna jednak ta wiosna na wyspie Maderze. Na tem samem polu, na którem dąb korkowy puszcza nowe liście, rozpoczynają się w tym samym czasie żniwa trzciny cukrowej i dojrzewają banany. Obok żałośnie pozbawionego zieleni platana, uśmiechają się, obsypane mięsistem, ciemno-zielonem listowiem — magnolje; poprzez pokład zeschniętych liści kasztanowych — wyglądają barwne kwiaty muszkatelu, a obok rosochatej, bezlistnej jabłoni — puszy się bezczelny, do księżyca podobny żółty słońceznik.

Pomieszały się na tej wyspie wszystkie pory roku i wytworzyły nieopisany chaos.

Odwieczne prawo natury, nakazujące roślinom w jednym czasie ulegać zapłodnieniu, dojrzewać i owocować, tutaj nie istnieje. Flora obu półkół świata, gdzie pory roku są sobie wręcz przeciwne, żyje na Maderze w zupełnej zgodzie. Współżycie to stwarza takie niebywale dziwowisko, że jak rok okrągły, zawsze jakieś rośliny na niej kwitną, jakieś inne dojrzewają, a jeszcze inne owocują. Jedyne w swoim rodzaju warunki klimatyczne, jakimi cieszy się Madera, powodują, że w ciągu całego roku na pobieżny rzut oka wydaje się panować na niej lato.

Jednak wiosna właściwa, a więc miesiąc marzec, budzi do życia największą ilość gatunków roślinności i dlatego „czuć ją w powietrzu“ właśnie teraz. Nie wyraża się ona jednak w podniesieniu temperatury. Na wiosnę jest również ciepło, jak i w „zimie“ i na jesieni. Termometr nie spada w nocy niżej dziesięciu stopni ciepła, a w dzień pokazuje wciąż te same $+18^{\circ}$, lub $+20^{\circ}\text{C}$.

Jest to temperatura idealna, ani za gorąca, ani za chłodna.

Niestety, wiosnie, tej najpiękniejszej porze roku, towarzyszą na Maderze obfite opady atmosferyczne, oraz silne wichry, które wysyła ku niej gorąca Sahara. Wieją one z wielką siłą już od dwóch tygodni. Dzień i noc unosi się nad wyspą ich gwizd i szum drzew, nastrajając dusze ludzkie „na smutno“.

Jęk wichru, kołaczący się wśród jałowych skał bazaltowych, przewija się we wszystkich melodjach ludu maderskiego. Tajemnicza mowa żywiołu, jego zawroźnienie, krzyki i echa zapełniły doszczętnie ubogi skarbiec legend wyspiarskich. Wicher, groźny nieprzyjaciel wątych stateczków rybackich, niosący w lecie z odległej Afryki chmury mialkiego, gryzącego pyłu i zwały gora-

cego, suchego powietrza, jest dla wyspiarzy czemś żywym, przejawem jakiejś siły tajemniczej, a wyspie wrogiej.

Marszałkowi Piłsudskiemu niepogoda, a w szczególności ten nieustanny wiatr widocznie nieco dokuczyły, bowiem pewnego razu, gdy przez kilka dni nie ukazywało się słońce, rzekł:

— A jednak zrobiliśmy głupstwo, zostając tutaj na marzec.

Gdy jednak wspomnę sobie, że teraz w Europie środkowej, w której nasz naród ma wątpliwą przyjemność mieszkać, padają śniegi z deszczem, że wszystkie drzewa stoją bezwstydnie i wyzywająco nagie, że kwiaty można zobaczyć tylko w doniczkach, a słońce — w kinie, to jakoś wiatr maderski przestaje wydawać się nazbyt dokuczliwy.

Wiosna, jak wiosna — objawia się zmianami nie tylko w naturze, ale też i wśród ludzi, a w szczególności wśród płci pięknej.

Mieszkanki Funchalu reagują na nią w sposób swoisty. Gwałcą maurytański regime, nakazujący im stałe siedzenie w domu i nie wytykanie nosa na świat Boży. Gwałcą wprawdzie nieśmiało, ale, bądź co bądź, gwałcą. Ta ich aktywność nie wygląda w praktyce nazbyt imponująco. Wyraża się głównie w tem, że odważają się wyglądać na ulice nie przez zamknięte żaluzje, ale, o zgrozo, przez naościęz otwarte okna, a nawet (nie chce mi to wyjść z pod pióra) — udawać się wieczorem na spacyery...

Pewien mój znajomy Maderczyk o dźwięcznem imieniu Ildefonso, człowiek już stary, rzekł w związku z tą niesłychaną rozwiązłością obyczajów, zalewającą wyspę:

— dawniej, proszę pana, było inaczej. Nikomu nie śniła się nawet taka rozpusta. Moja babka mieszkała od urodzenia do śmierci w Monte (przedmieście Funchalu), a nie była ani razu nad morzem. To były czasy!

— Baa, dawne czasy! — przyświadczyłem staruszkowi, czem ośmielony, zapytał:

— A czy u was, w Polsce, też tak się teraz zepsuło?

Miłość własna Polaka zagrała sobie we mnie hucznego marsza.

— Ależ co znowu — odrzekłem — u nas wszystko po staremu. Kobiety bardzo rzadko wychodzą z domu.

— To, to, to, powinny siedzieć w domu, albo w ogrodzie.

— I pilnować swojego nosa, a nie szukać niewiadomo czego po ulicach — licytowałem się ze starym.

— To, to, to, — przyświadczył mi entuzjastycznie Ildefonso, ściskając mocno za rękę.

Biedna Madera! Biedny kraj, gdzie ideałem kobiety jest zwykła domowa kwoczek!

Na Maderze niema ptaków przelotnych. Nie widać tutaj nigdy, jak u nas, odlatujących lub przylatujących stad bocianów, żorawi, czy też jaskółek. Co raz zamieszkało na tej wyspie szczęśliwej, pozostaje już na zawsze. Jedynym wyjątkiem jest człowiek z ciekawego gatunku Anglików.

Jak u nas ptactwo przelotne na wiosnę, tak na Maderze mieszkańcy chmurnych wysp brytyjskich zjawiają się każdej jesieni, aby na początku lata, teraz właśnie, powrócić pod rodzinne strzechy. Zostaje po nich jedynie wspomnienie szablonowego, śmiesznego trybu życia i mnóstwo cennych funtów szterlingów. Z sobą unoszą słońce i brązową, piękną poźłotę na twarzach.

Plotki.

17 marzec.

— Słuchajcie — odezwał się w ostatnich dniach swego pobytu na Maderze Marszałek Piłsudski do

doktora Marcina Woyczyńskiego, patrząc w lustro. — Czyż to możliwe tak się opalić? Spójrzcie! Przecież ja jestem brązowy!

— Ba! — odrzekł na to doktor — afrykańskie słońce nie żartuje, a Funchal, to nie Pikiliszki.

Istotnie, Funchal to nie Pikiliszki, ani nawet Zaleszczyki. Przez całą „zimę“, a w szczególności przez



Oryginalna skrzynka pocztowa w Funchalu.

styczeń i luty, słońce grzało i przypiekało nie na żarty. Mogło opalić porządnie.

Spoglądając na czerstwą, opaloną twarz Marszałka Piłsudskiego, śmiać mi się chciało setnie z głupich alarmów, wałęsających się po świecie, o jego złym stanie zdrowia. Życzyłbym każdemu takiej świeżości, energii i doskonałego samopoczucia, jakimi cieszy się Marszałek Piłsudski obecnie.

Gdy tylko głowę przytknie do poduszki — śpi, „jak kamień“; wstaje rano, wypoczęty i świeży; apetyt ma

taki, że aż kucharz Teixeira (na złość nie Polak, jak chciały plotki, a Portugalczyk) zaciera ręce z radości; pracuje nad swoim dziełem dzień w dzień i jest stale w doskonałym humorze.

O ile są to oznaki choroby, to, rzeczywiście, stan zdrowia Marszałka Piłsudskiego jest groźny.

Chciałbym czuć się w wieku Marszałka Piłsudskiego tak, jak czuje się on teraz na Maderze.

„Kto chce, ten i w całym dziurę znajdzie“ — mówi stare, polskie przysłowie. Mądre przysłowie! Przypomina mi się ono zawsze, gdy słyszę, że komuś niepodoba się u Marszałka jego zamyślanie do samotności.

Szkoda, że któryś z dziennikarzy niemieckich, puszczających po świecie plotki w związku z pobytem Marszałka Piłsudskiego na Maderze, nie wybrał się do Funchalu i nie pokazał mi tych polskich żandarmów i oficerów, którzy tego Marszałka tutaj, według ich zdania, pilnowali. Kto chce, niech wierzy, kto nie chce — niech nie wierzy, ale, doprawdy, na Maderze nikt inny Marszałka Piłsudskiego nie pilnował, oprócz jednego mundurowego policjanta portugalskiego, wyznaczonego więcej dla uczczenia osoby polskiego bohatera narodowego, aniżeli jego ochrony. Wiedziało o tem w Funchalu i na całej wyspie, każde dziecko. Nic łatwiejszego było, jak sprawdzić prawdziwość tego, co piszę. Zresztą, nie piszę tego, abym uważał, że troskliwa ochrona osoby twórcy Polski Niepodległej byłaby czemś zdrożnem, lecz poprostu, aby dać świadectwo prawdzie.

Gdyby mnie kto pytał o zdanie, to stanowczo byłbym za tem, aby ochronę przysłało, jednak, jak wiadomo, Marszałek Piłsudski tak kategorycznie sprzeciwił się wysyłaniu z nim jakiegokolwiek asysty czy służby, że wszelkie projekty w tym kierunku nie zostały uczczewistnione.

Marszałek Piłsudski jest człowiekiem dobrodusznym. Śmiał się serdecznie z tych bzdur gazeciarskich, gdy mu o nich opowiadano, a wreszcie, gdy dowiedział się o tem, że właściciel willi, w której mieszka, pan König, prosto-
wał w prasie szwedzkiej te plotki, odezwał się:

— A to jakiś pocziwy Szwedzina.

Z tego dobrego nastroju do właściciela willi skorzystał doktor Woyczyński i podsunął Marszałkowi wielką księgę gości, o wpisanie do której już dawno prosiła zarządzająca majątkiem Szwe-
da, pani Lynström.

Marszałek wpisał do księgi swoje nazwisko.

*

*

*

Wszelkie plotki i głupstwa, rozsiewane w związku z pobytem Marszałka na Maderze, zanikły już dawno. Pozostał jedynie wstyd dla tych ludzi, którzy w zacietrzeniu nie widzą żadnych granic przyzwoitości i którzy nie wahali się dla swoich porachunków politycznych operować kłamstwem, fałszem i plotką.

R O Z D Z I A Ł XII.

WYCIECZKA NA WSCHODNIĄ STRONĘ WYSPY.

Przez dłuższy czas Marszałek Piłsudski studjował przewodniki angielskie po wyspie Maderze, aż pewnego dnia rzekł do doktora Woyczyńskiego:

— Jutro, o ile będzie pogoda, pojedziemy do Machico.

Do tej niewielkiej miejscowości, położonej na wschodnim wybrzeżu wyspy, jest przywiązana ciekawa, romantyczna legenda. Niewątpliwie ona zachęciła Mar-

szałka Piłsudskiego do wyrażenia chęci zobaczenia ubogiej osady rybackiej.

Taka jest ta legenda:

w połowie XIV wieku, gdy Madera nie była jeszcze „odkryta“, żył w Anglii pewien młody rycerz, imieniem Robert Machin. Jak to się rycerzom zwykle zdarza, zakochał się w pięknej dziewczycy szlacheckiego rodu, Annie d'Arfet. Napróżno jednak kołatał nieszczęsny Robert Machin o rękę swej wybranej u nieprzychylnego sobie ojca. Rodzic nie chciał nawet słyszeć o nim, jako o zięciu. Dlatego nie chciał, legenda nie powiada. Zrozpaczony rycerz, który potrafił sobie tymczasem zaskarbić względy i miłość Anny, postanowił ją porwać i zamieszkać z nią we Francji. Jak postanowił, tak uczynił. Pewnej ciemnej nocy Anna d'Arfet wymknęła się cichaczem z zamku ojca i wpadła w objęcia oczekującego ją kochanka. Razem udali się nad morze, gdzie oczekiwał okręt.

Odpłynęli.

Bóg nie pobłogosławił jednak temu czynowi. Zerwała się sroga burza i pognała okręt z parą kochanków hen, daleko, na ocean. Po wielu tygodniach kołatania po olbrzymiej pustyni wodnej, dostrzegli nieszczęśni żeglarze jakąś ziemię. Była to nieznana jeszcze wówczas w Europie, wyspa Madera. Wylądowali na niej w pięknej, zatoczce, w tem miejscu, na którym dzisiaj wznosi się miasteczko, nazwane na cześć Roberta Machina — Machico. Tutaj postanowili statek wyreperować, zgromadzić żywność, i wyruszyć na odszukanie utraconej ojczyzny.

Nie był to jednak koniec ich nieszczęść. Zerwała się nowa burza, która uniosła okręt z kotwicy i odegnała go od wyspy.

Nieszczęsnych żeglarzy nie ugięły przeciwności losu; rozpoczęli budować nowy statek, któryby mógł ich ponieść do ziemi rodzinnej.

Jednak chwili opuszczenia wyspy nie doczekała się Anna d'Arfet, która zmarła przy połogu, ani Robert Machin, który w kilka dni później zmarł z tęsknoty po niej.

Towarzysze wystawili im kamienny krzyż z napisem: „Robert Machin, rycerz angielski, i Anna d'Arfet, jego żona“, a w sto lat później mieszkańcy „odkrytej“ w tym czasie Madery, wzniesli w tym miejscu małą kapliczkę.

Wiedzieć o tragedji Roberta i Anny nie dotarłaby nigdy do Europy, gdyby nie załoga, która na zbudowanym przez siebie okręcie udała się później w drogę powrotną i po przebyciu długiej niewoli u Maurów, odbita przez korsarza portugalskiego, przybyła nareszcie do swoich i o nieszczęsnym losie kochanków opowiedziała.

Taka jest legenda, przywiązana do imienia Machico. Dodaje ona miejscowości uroku, zachęcając licznych turystów do odbycia wycieczki na grób dwojga nieszczęśliwych kochanków, którzy miłość przypłacili śmiercią.

Do Machico prowadzi dość wygodna droga samochodowa. Z każdego prawie jej miejsca roztaczają się przepiękne widoki na morze i wysokie góry, któremi usiana jest cała wyspa. Po drodze mija się liczne plantacje bananów, trzciny cukrowej, pomarańczy, wina i wielu innych egzotycznych roślin. Wszędzie zielono i pełno kwiecia. Te cudowne widoki, tak niezwykle i miłe dla mieszkańca krain północnych, złoci ciepłe słońce i owiewają miłe podmuchy wiatru, wygrzanego porządnie nad Golfstromem.

O kilka kilometrów od Funchalu znajduje się wyniosły przylądek Garajao, który zasłania wprawdzie widok mieszkańcom stolicy, ale z którego roztacza się nadzwyczaj piękny i rozległy krajobraz na południową i wschodnią stronę wyspy.

Z wyjątkiem małego odcinka od Garajao do Porto-Novo, droga pnie się zboczami wysokich brzegów morskich. Oko podróżnika ma wciąż możliwość

podziwiania olbrzymiej żywej pustyni wodnej, popstrzonej kilku bezludnymi wysepkami, mającącymi na horyzoncie. Szosa, obramowana od strony przepaści i zboczy półmetrowym murem kamiennym, jest równa i doskonale utrzymana. Samochód mknie po niej, jak po asfalcie. Co chwilę mija się grupy białych domków, krytych nieodmiennie czerwoną dachówką, nieliczne win-



Autor pomaga przenosić do willi pocztę imieninową.

nice (rejon winnic znajduje się w innej stronie wyspy), starannie uprawione ogrody, murowane zbiorniki na wodę i ludzi, pracujących na polach.

Po godzinie dociera się do miejscowości Santa Cruz. Jest to maleńkie, wesołe miasteczko z kościołem na środku rynku. Trzy czwarte jego ludności zajmuje się bądź połowem ryb, bądź handlem niemi. Na jego krańcach widnieje kilkanaście ładnych willi w ślicznie urządzonej ogrodach. Niektóre z nich należą do zamożnych Anglików, którzy przyjeżdżają tutaj na zimę grzać się na słońcu i pić madere.

Założenie tej miejsciny sięga czasów bardzo odległych. Istnieją o niem ślady w archiwach, że już w roku 1515 zostało usamodzielnione administracyjnie. Było ono jedną z pierwszych ofiar korsarzy, którzy pod koniec XVI wieku napadali i rabowali bezbronne wybrzeża Madery. Królewski rząd portugalski zdecydował się pobudować forty dla ich obrony dopiero wówczas, gdy korsarze przenieśli swą działalność daleko od Europy, ku bogatym wice-królestwom amerykańskim.

Dwadzieścia pięć kilometrów, dzielących Machico od Funchalu, przebywa się samochodem w trzy kwadranse. Ten krótki czas wydaje się cudownym snem dla szczęśliwca, który może tę drogę odbyć. Nie lubię przesady, to też nie powiem: „zobaczyć drogę do Machico i umrzeć“, ale jednak mam chęć wykrztusić coś podobnego.

Samo Machico nie przedstawia sobą nic specjalnie ciekawego. Kilka wąskich i brudnych uliczek, dwa kościoły, olbrzymi plac futbolowy, to już wszystko.

Leży ono nad głęboką zatoką, wyciętą w lądzie tak regularnie, jakgdyby natura używała przy tej pracy jakiegoś potężnego cyrkla. Patrząc na tę miłą, zaciszną zatoczkę, nie dziwiłem się wcale, że Robert Machin wybrał do lądowania ją właśnie, a nie inne miejsce.

Na wschód od miasteczka widnieje woddali wąski, skalisty półwysep, poszarpany i poprzerrywany przez ocean. Wygląda ten półwysep, jak zastygły strumień lawy, który odważył się nawiedzić morze i w walce z niem uległ. W jego przedłużeniu widnieje kilka minjaturowych wysepek. Na jednej z nich, wysuniętej najdalej ku oceanowi, zwanej São Lourenço, wybudowano latarnię morską.

Skały półwyspu i wysepek upodobały sobie za siedzibę tysiące mew, których żalosny krzyk nadaje temu zakątkowi jakiś melancholijny, poetyczny urok. Miejsce to sławne jest w historii Madery tem, że na niem właśnie

wylądował pierwszy nie legendarny Europejczyk. Był to wspominany już Gonçaves Zarco, żeglarz portugalski, który po odkryciu w roku 1419 małej wysepki Porto Santo, leżącej o kilkadziesiąt mil na północ, przybył tu w rok później i objął odkrytą przez siebie ziemię w posiadanie króla Portugalji.

O tych wszystkich pięknych wspomnieniach historycznych i legendach w Machico mało kto wie. Trzeba było długo i pilnie dopytywać się, aby nareszcie znaleźć kogoś, ktoby mógł powiedzieć, gdzie znajduje się miejsce ostatniego spoczynku Anny d'Arfet i jej kochanka. Stoi tam teraz mała kapliczka, poświęcona św. Izabeli dos Milagres, ale niema żadnej tablicy, ani też innego znaku, przypominającego piękne podanie o pierwszych ludziach na wyspie.

Ładna jest droga do Machico, a i samo miasteczko niebrzydkie, lecz, niestety, Marszałek Piłsudski nie zobaczył tych cudów, gdyż wówczas, gdy zapowiadał wyjazd, pogoda nie dopisała, a później, pochłonięty pracą, wogóle przestał o wycieczkach myśleć.

R O Z D Z I A Ł XIII.

IMIENINY MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO.

Pięć milionów Polaków wysłało w roku 1931-szym życzenia imieninowe Marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu!

Kto wie, czy kiedykolwiek świat widział już taką demonstrację i czy kiedykolwiek w przyszłości będzie podobna jej możliwa.

„Zestrzelić ducha w jedno ognisko“ u takiej wielkiej masy ludzi, rzecz to niełatwa. Ileż to entuzjazmu, wiary, miłości i oddania trzeba wyzwolić, aby oddać bohaterowi narodowemu hołd w formie tak niezwyklej i w ramach tak imponujących.

Liczni w Funchalu cudzoziemcy, jak również i Portugalczycy nie mogli wyjść z podziwu nad wielką jedno-myślnością Polaków w uznaniu dla Marszałka. Sprawa przesyłania życzeń była na Maderze bardzo głośna i miałem aż nadto sposobności, aby głosów tych usłyszeć dużo.

Techniczna strona dostarczania poczty była zorganizowana wzorowo. Uprzedzony przeze mnie, a później przez nasze ministerstwo poczt i telegrafów, dyrektor tu-tejszego urzędu pocztowego, p. Alfredo Jorge Ferraz, przyjął do pomocy kilku ludzi, którzy mieli za zadanie opiekować się wyłącznie korespondencją Marszałka. Została założona specjalna dla niej księga, do której wpisywano przesyłki polecane.

Wszystkie pocztówki przychodziły w workach pocztowych polskich, zaopatrzonych w odpowiednie emblematy i napisy, wymalowane farbą czerwoną, albo czarną. Początkowo urząd pocztowy w Funchalu robił przeładunek do worków portugalskich, lecz gdy ilość ich zaczęła iść w setki, zaniechał tej operacji i odsyłał pocztę w workach polskich, przyczem jednak dr. Woyczyński musiał zostawić oświadczenie, że zobowiązuje się je zwrócić polskiej dyrekcji poczt.

Przed willę, w której Marszałek Piłsudski mieszkał, zajeżdżało kilkakrotnie auto ciężarowe i ku niezwykle-mu podziwowi całej okolicy, wyładowywało przed furką stos worków poczty. A potem kto żyw: kucharz, pokojówka, policjant, parobek, dr. Woyczyński i ja przenosiliśmy je do willi, która wkrótce przemieniła się w jakiś urząd pocztowy wielkiego miasta.

Najgorzej było z pocztą poleconą. Przychodziła w specjalnych zaplombowanych workach. Te przenosiliśmy z dr. Woyczyńskim do jadalni. I teraz trzeba było wszystkie listy przejrzeć, gdyż mogły wśród nich trafić się nieimieninowe, lecz zawierające coś ważnego. Gdy się zważy, że tych listów poleconych przychodziło dzień



Komandor Morgenstern, dowódca „Wichra”, oraz autor w ogrodzie willi Marszałka Piłsudskiego.

w dzień od tysiąca do dwóch tysięcy sztuk, to łatwo każdy się zgodzi, że roboty było dużo. Sprawiedliwość nakazuje przyznać, że lwia jej część wykonał dr. Woyczyński.

Komendant stawał niekiedy przed temi stosami listów i pocztówek, ale nie mówił nic. Raz tylko odezwał się:

— Jak tam będzie jaka fotografja dzieci, to dajcie mi.

Jak wiadomo, Komendant nadzwyczajnie dzieci lubi i wszelkie oznaki sympatji z ich strony są mu bardzo miłe.

Zaraz też wynaleźliśmy parę tuzinów fotografij różnych Lolków, Władziów, Staś, Niutek, i Ziutek, które

wypisywały swoje serdeczne, chociaż niekiedy śmiesznie naiwne życzenia niezgrabnymi literami.

Komendant, przeglądając je, wpadał w doskonały humor.

Pierwszy większy transport poczty, wynoszący około pięćdziesięciu tysięcy pocztówek, nadszedł 15 marca. Później przywoziły już wszystkie okręty. Do 22 marca, a więc przez 8 dni poczta nadsyłała listy do willi, po tym terminie poleciliśmy, ze względu na bliski odjazd do Polski, magazynować je w urzędzie pocztowym, a następnie przetransportować na „Wichra“, którym, jak wiadomo, Marszałek postanowił powrócić do kraju.

Ze względu na ten powrót, wcześniejszy aniżeli wielu ludzi w Polsce przypuszczało, część pocztówek nadchodziła do Funchalu po wyjeździe Marszałka Piłsudskiego. Odsyłano je zpowrotem do Polski, kierując do Belwederu.

Niesposób, oczywiście, było sporządzić dokładnego obliczenia wszystkich listów i pocztówek z życzeniami. Nie starczyłoby nam na to nawet roku czasu. Dyrektor poczty, zapytany przeze mnie w dniu wyjazdu w tej materji, oświadczył, że ilość przesyłek, wyekspedjowanych dla Marszałka Piłsudskiego przez jego urząd na pewno przekroczyła znacznie dwa miliony sztuk.

*

*

*

Dnia 19-go marca o godzinie 10³⁰ udałem się do willi „Bettencourt“, aby złożyć Marszałkowi życzenia imieninowe i skromny upominek, w postaci paru ostatnio wydanych swoich książek.

Marzec na Maderze odznacza się nieprawdopodobną ilością podzwrotnikowych, obfitych deszczów. Dzień 19-ty tego miesiąca nie stanowił wyjątku. Rano lało, jak z ce-

bra. Na szczęście, przed południem wypogodziło się i słońce zalało cały Funchal potokami jaskrawego światła.

Przy furcie przywitała mnie, jak zwykle, Georginja.

Za chwilę znalazłem się we wnętrzu willi. Przez chwilę nie mogłem w pokoju, w którym przesiaduje dr. Woyczyński, nikogo dostrzec. Dopiero po chwili zauważyłem doktora, zakopanego po same uszy w pocztę imieninową Marszałka.

W całym pokoju piętrzyły się stosy pocztówek imieninowych, porozkładanych na stołach, na krzesłach i na podłodze. Pod ścianami wyczekiwały na przejrzenie niezapczęte jeszcze pękate wory pocztowe. Ponadto, co chwilę wchodziła Georginja i śmiejąc się wesoło kładła na biurku coraz to nowe stosy depesz.

Komendant znajdował się właśnie w swoim pokoju na górze, ale ponieważ godzina 11-ta, czas drugiego śniadania, już nadeszła, przeto dr. Woyczyński poprosił go na zwykłą herbatę.

Na stole, przy którym Marszałek Piłsudski zwykle jada, stała zastawa do herbaty, chleb ciemny, masło, ser i herbatniki, a ponadto bukiet pięknych azalij.

Po chwili dały się słyszeć kroki i wszedł Marszałek Piłsudski.

Był ubrany w swoją siwą kurtkę strzelecką. Żadnych odznak ani odznaczeń na tej jego kurtce nie było.

Podszedłem do niego i zameldowałem życzenia, składając swój skromny upominek.

— Dziękuję ci, dziecko — rzekł do mnie Komendant, odbierając książki, poczem usiadł do stołu i dodał:

— Napijecie się z nami herbaty.

Siadłem obok Komendanta i piłem herbatę, ale gdyby nalano mi wody, zaprawionej piołunem i gorczycą, smakowałyby mi wówczas równie dobrze.

Komendant był w dniu swych imienin ożywiony i wesoły. Mówił dużo i z werwą, zwłaszcza gdy rozmowa potoczyła się na temat historii Litwy przedchrześcijańskiej. Wspominał o swym przodku Ginajtisie, który, jak wiadomo, był jednym z pięciu pierwszych rycerzy Kiejstuta. Mówiąc o Jagiellonach, tak się wyraził:

— Głupi byli ci Polacy, że wzięli sobie za króla Jagiełłę, a nie Witolda, który był doskonałym politykiem i wojownikiem.

Tymczasem za oknami zaczęła się nowa ulewa. Grzmiało.

— Fatalny jest ten marzec na Maderze — zauważył Komendant, poczem wyjął papierosa „marszałkowskiego” i zapalił.

Nawiązując do słów Komendanta, powiedziałem:

— Przynajmniej nie będzie żal opuszczać wyspy.

— Macie rację — odrzekł i począł spoglądać w okno; w które siekł rześisty deszcz i uderzał porywisty wicher.

— Podczas takiej pogody — odezwał się Komendant znowu — miałem raz śmieszną przygodę.

— Było to w czasach konspiracyjnych. Często wówczas przebywałem w Wilnie. Z różnych względów nabrałem wtedy przyzwyczajenia, że wyruszając z tego miasta w kierunku północnym, zawsze szedłem piechotą do Wilejki i dopiero tam wsiadałem do pociągu. Nie lubiłem pokazywać się zbyt często pewnemu żandarmowi, który urzędował na dworcu w samym Wilnie... Otóż pewnego razu szedłem sobie spokojnie do Wilejki, gdy nagle lunął taki właśnie deszcz — tutaj Komendant wskazał ręką w kierunku okna, za którym odbywał się istny potop.

— Oczywiście — ciągnął dalej Komendant — przemokłem do ostatniej suchej nitki i ledwie dowlokłem się do miasteczka, gdzie udałem się do mieszkających tam moich krewnych, którzy, przerażeni moim zmok-

nięciem, nastawali na mnie gwałtownie, abym przebrał się choćby nawet w suknie kobiece, jako że w domu tym były same kobiety. Rad nie rad, przebrałem się w sukienkę...

„Posiedzenie“ przy drugim śniadaniu trwało przeszło trzy godziny. Już było po drugiej, gdy Komendant przeciągnął ręką po brodzie i rzekł:

— Trzeba się będzie ogolić.

Po chwili wszedł do swojej sypialni, mieszczącej się na pierwszym piętrze.

Jeszcze przed obiadem, który Marszałek spożywa zwykle o godzinie 3-ej, zagrała przy furcie syrena samochodu i rozległ się głos kołatki.

W chwilę później Georginja zameldowała gubernatora cywilnego wyspy, który przybył złożyć życzenia imieninowe od rządu portugalskiego.

Marszałek Piłsudski przyjął go w salonie, w którym zwykle pracował i w którym, na okrągłym stole, leżała rozłożona mapa frontu francusko-niemieckiego z czasów wielkiej wojny.

Gubernator Almeida Cabaço, młody jeszcze i żywy człowiek, władający językiem francuskim, wygłosił krótkie przemówienie z życzeniami, za które Komendant mu podziękował.

Po wymienieniu paru zdawkowych zdań, Marszałek zapytał, nawiązując do niedawnych rozruchów w Funchalu:

— Czy nie uważa pan, panie gubernatorze, że w rozruchach tych maczali palce komuniści?

Gubernator przytaknął.

— Mamy — odrzekł — pewne ślady, że tak było.

Tutaj Komendant rozwinął swoje przypuszczenie, podkreślając pewne cechy minionych rozruchów funchal-skich, wykazujących zadziwiające podobieństwo do metod, stosowanych właśnie przez komunistów w innych krajach europejskich.

Po południu nadeszły z pośród tysięcy innych depesz, życzenia imienninowe od prezydenta Portugalji gen. Carmony, oraz od ministrów spraw zagranicznych i wojny tegoż kraju.

ROZDZIAŁ XIV.

ŻEGNAJ, MADERO!

Dnia 22 marca o siódmej rano zakołatano gwałtownie do mego pokoju.

— Wejść!

W drzwiach ukazał się służący.

— Panie kapitanie — usłyszałem jego podniecony głos — do Funchalu przyjechał w nocy polski okręt wojenny.

Zerwałem się szybko z łóżka i zacząłem ubierać.

Depesze prasowe, które nadeszły poprzedniego dnia, zapowiadały przybycie „Wichra“ dopiero na wieczór, albo nawet na dzień następny, więc, nic dziwnego, że wczesne przybycie sprawiło mi niespodziankę.

Gdy wyszedłem na brzeg oceanu, odrazu rzuciła mi się w oczy znana, podłużna sylwetka trzykominowego „Wichra“. Ztyłu, na rufie, trzepotała się białoczerwona bandera; na dziobie zaś starodawny proporzec polski — ręka, uzbrojona w miecz.

Serce zabiło mi mocniej z dumy i radości.

„Wicher“ stał na kotwicy w odległości dwustu metrów od brzegu. Na molu tłoczyła się, pomimo wczesnej godziny, gromada ludzi. Przyszli zobaczyć *cruzador polaco* — polski krążownik. Co chwila zaczęział mnie jakiś znajomy, pytając, jak się wymawia to dziwaczne słowo, którem okręt ochrzczono.

Wziąłem łódź i udałem się na pokład. Wślad za mną przybył tak zwany oficer komplementacyjny, wysłany przez najwyższego przedstawiciela władzy na wyspie, aby w jego imieniu powitał okręt.



Marynarze z „Wichra” nabywają pamiątki w składzie osobliwości w Funchalu.

Po wymienieniu zwykłych, międzynarodowych grzeczności, udaliśmy się razem z oficerem portugalskim i dowódcą „Wichra”, komandorem Tadeuszem Podjazd-Morgensternem, na ląd.

Zostawiwszy Portugalczyka na brzegu, skierowaliśmy się do willi „Bettencourt”, do Marszałka Piłsudskiego, u którego komandor miał się zameldować.

Była to właśnie godzina 11-ta, o której Marszałek jadał drugie śniadanie. Nie chcieliśmy przeszkadzać.

Usiedliśmy w ogrodzie pod wspaniałym laurem i gawędziliśmy.

— Nie powiem — mówił komandor — abyśmy mieli podróż idealną. Prawie przez cały czas trwały burze i mgły. Szczególnie we znaki dała się nam sławna ze swoich niespokojnych wód zatoka Biskajska.

— A jakże było w kanale Kilońskim? — zapytałem. Komandor uśmiechnął się.

— Jak wiadomo, kanał jest międzynarodowy, Niemcy jednak nie omieszkali przysłać do nas, po przybyciu do wejścia, swojego oficera komplementacyjnego. Należy przyznać, że postępowanie władz było zupełnie poprawne.

Tymczasem Marszałek Piłsudski dokończył śniadania i uwiadomiony o wizycie dowódcy okrętu, wyszedł do ogrodu.

Po odbyciu półgodzinnej konferencji z komandorem, na której została wyznaczona marszruta powrotna i czas odjazdu, Marszałek udał się do swojego pokoju na pierwszym piętrze.

Z willi Bettencourt komandor Morgenstern pojechał wraz z płk. Woyczyńskim do pałacu São Lourenço, celem złożenia wizyty wysokiemu komisarzowi rządu, pułkownikowi Silva Leal, oraz gubernatorom cywilnemu i wojskowemu.

Tegoż dnia podczas obiadu Marszałek Piłsudski opowiadał o swoich podróżach morskich i wyśmiewał się z tych pasażerów, którzy podlegają morskiej chorobie.

— Pierwszy raz w swoim życiu — mówił Marszałek — jechałem okrętem z Rotterdamu do Londynu. Podróż tę poprzedziło przekradanie się przez granicę, gdyż, oczywiście, paszportu nie miałem. I trzeba zbiegu okoliczności, że właśnie na ten pierwszy raz trafiła się mgła i burza. Przez całą noc słyszałem i widziałem naokoło siebie objawy choroby morskiej. A ja nic. Z mi-

nuty na minutę czekałem na nią, ale nie przyszła. Nie przyszła też i podczas innych moich podróży.

— Pan Marszałek dużo podróżował? — wtrąciłem.

— A tak, sporo.

I po chwili:

— Pewnego razu — mówił — jechałem z San Francisco do Jokohamy. Była burza. Ze stu pięćdziesięciu pasażerów przyszło do sali jadalnej tylko trzech.

— A reszta? — zapytałem.

— Reszta? Reszta chorowała.

Wieczorem Marszałek wspominał znowu o morskiej chorobie.

— A wiecie — mówił — gdy siadałem w Lizbonie na „Angolę“, myślałem, że może zachoruję, bo to przecież już tyle czasu okrętem nie jeździłem.

Wieść o odjeździe Marszałka Piłsudskiego rozeszła się po Funchalu w jednej godzinie.

Dyrektor poczty zjawił się natychmiast, pytając, co ma robić z awizowanymi wciąż nowymi worami poczty imienninowej.

— Musi pan wszystko odsyłać do Warszawy — wyjaśniłem mu.

Pocziwy Alfredo Jorge Ferraz jęknął.

— Wszystko zpowrotem!

— Ha, cóż robić. Trzeba.

Pocziwiec zachmurzył się nieco, lecz nie odpowiedział nic, tylko grzecznie życzył nam szczęśliwej drogi.

Rozpoczęła się serja pożegnań.

Do wysokiego komisarza i obu gubernatorów udał się w imieniu Marszałka, dr. Woyczyński. Wizytowani, zgłosili się następnego dnia, świadcząc zwykle w takich wypadkach grzeczności.

Marszałek Piłsudski sam podyktował telegram z pożegnaniem do prezydenta Portugalji, generała Carmona'y.

Oto jego treść, przetłumaczona z oryginału francuskiego:

„Opuszczając pański kraj, Panie Prezydencie, śpieszę z głębokiem podziękowaniem za serdeczne przyjęcie. Zachowam na zawsze w pamięci pobyt na wyspie Maderze i na zawsze pozostanę z uznaniem za wiele serdeczności, jakiej doznałem“.

Nadszedł wreszcie dzień 23-go marca, dzień opuszczenia Madery.

W rozkazie dziennym dowódcy garnizonu funszalowskiego widniał w tym dniu taki punkt:

„Pułk służbowy wystawi na godzinę 16-tą, na molu w Porto d'Abrigo, bataljon honorowy, który odda właściwe honory odjeżdżającemu okrętem wojennym „Wicher“ Marszałkowi Polski, Józefowi Piłsudskiemu. Strój przewidziany regulaminem służby wewnętrznej i t. d.“

Pułkiem służbowym był 13-ty pułk piechoty.

Moment odjazdu „Wichra“ został wyznaczony na godzinę 16³⁰. Bataljon honorowy uszykował się już przed pół do czwartej, a wkrótce potem zaczęli zjeżdżać dygnitarze portugalscy.

Najpierw zjawił się na molo dymisjonowany z racji niedawnych rozruchów gubernator wyspy — płk. José Maria Freitas, następnie wysoki komisarz rządu centralnego — płk. Silva Leal i wreszcie dowódca 13-go pułku piechoty, dowódca baterji artylerji, komendant miejscowego P. K. U., kapitan portu, gubernator wojskowy, konsul francuski i tłum ludzi.

Punkt o godzinie 16-tej nadszedł samochodem Marszałek Piłsudski w towarzystwie por. Namieśnińskiego z załogi „Wichra“, oraz cywilnego gubernatora wyspy, José Almeida Cabaco.

Dowódca bataljonu honorowego wydał komendę prezentowania broni. Marszałek wysiadł z samochodu i przywitawszy się z niektórymi dygnitarzami, przeszedł przed

frontem wojska, poczem dał znak dowódcy, aby wydał komendę: „spocznij“.

Wywiązała się krótka rozmowa, w której Portugalczycy pytali, jak Marszałek czuł się na Maderze i czy nie zamierza kiedyś zawitać na nią ponownie.

Marszałek wyspę bardzo chwalił i mówił, że z pobytu na niej jest zadowolony, jednakże co do ewentualnego powrotu, zachował milczenie.

Jeszcze przed ceremonjami pożegnalnymi przybiła do moła polska łódź motorowa, która miała przewieźć Marszałka na pokład „Wichra“, zakotwiczonego o kilkaset metrów od brzegu.

Punktualnie, co do minuty, wydał komandor Podjazd-Morgenstern rozkaz podniesienia kotwicy.

Zgrabnie, lekko, wykręcił się „Wicher“ dziobem w stronę Europy i ruszył.

Po chwili przed oczami naszymi zaczęły szybko prze-wijać się barwne widoki wyspy.

A więc najpierw ukazał się wysoki, ponury przylądek Garajao; potem błysnęła na chwilę wieża kościoła z Santa Cruz; zaśmiało się ku nam białemi domami i piękną zatoczką — Machico; mignęła za drzewami kapliczka S-ta Izabel dos Milagres, w której leżą legendarni kochankowie Robert Machin i Joanna d'Arfet; potem ukazał się znowu inny przylądek i znowu inna wioska, aż wreszcie roztoczyły przed nami swoje pustynne, księżycowe widoki — bezludne wyspy Desertas.

Marszałek Piłsudski zapowiedział, schodząc w Fun-chalu do kajuty, aby mu dano znać, gdy znajdziemy się w pobliżu wysepki Porto Santo, na której pięć wieków temu mieszkał przez szereg lat Krzysztof Kolumb.

Dotarliśmy do tej wyspy o godzinie szóstej. Był jeszcze dzień.

— Komendancie, Porto Santo!

Marszałek wyszedł na pokład i oparłszy się plecami o żelazny słupek, patrzył na malutki skrawek lądu, rzucony w bezmiar oceanu.

W wieczornem świetle majaczyły wdali jasne smugi piaszczystych plaży i ostre szczyty gór. Kilkadziesiąt domów, stanowiących jedyną wieś na wysepce, przypominało szare, mało widoczne plamki.

Wtyle, za nami, znikająca w morzu piękna Madera, raj Atlantyku, mizerny szczątek starej, legendarnej Atlantydy. Z pośród chmur, zlewając się z niemi, wyłaniał się jeszcze jej najwyższy szczyt — wygasły wulkan Pico Ruivo. Za chwilę i on począł roztapiać się w mroku i oceanie, aż wreszcie zniknął.

Staliśmy wówczas zamyśleni z dr. Woyczyńskim obok Marszałka i nie wiem na pewno, który z nas dwóch wypowiedział wtedy melancholijne słowa:

— Żegnaj, Madero!

„Wicher“ pruł ostrym dziobem ultramarynowe fale, sapiąc monotonna i posuwając się niezmordowanie naprzód.

R O Z D Z I A Ł X V .

CZTERY TYSIĄCE KILOMETRÓW PODRÓŻY NA „WICHRZE“.

Kontr-torpedowiec „Wicher“ nie jest luksusowym okrętem pasażerskim, lecz prostym, o surowym, spartańskim urządzeniu wewnętrznem — okrętem wojennym. Niemniej jednak marynarze nasi postarali się, aby zapewnić na nim Marszałkowi Piłsudskiemu maximum wygod. I, należy przyznać, udało im się to. Inna rzecz, że Marszałek tych wszystkich udogodnień niezbyt potrzebował, gdyż, jak wiadomo, prowadzi on życie nadzwyczaj

proste i wstrzemięźliwe. Gdyby mu przygotować posłanie na twardej ławie, przykrytej kocem — spałby niewątpliwie tak samo dobrze, jak na miękkim materacu.

Na czas podróży zakwaterowano Marszałka w kajucie dowódcy dywizjonu, której wymiary, pomimo tego,



Marszałek Piłsudski podczas ostatnich dni pobytu na Maderze.

że była ona na okręcie najobszerniejsza, nie przekraczały jednak 2 i pół metrów długości na 2 metry szerokości. Naprzeciwko niej wyznaczono pomieszczenie dla mnie i dla dr. Wojczyńskiego.

Umeblowanie morskiego mieszkania Marszałka składało się z wysokiego łóżka, biurka, szafy i fotela.

Śniadania i kolacje jadał Marszałek u siebie. Na obiady przychodził do jadalni, gdzie oprócz niego zasiadali do stołu: dr. Woyczyński, komandor Podjazd-Morgenstern, ja, oraz jeszcze dwóch lub trzech innych oficerów. Przy tych obiadach Marszałek Piłsudski bywał zawsze w dobrym humorze i opowiadał różne przeżycia ze swego życia. Ze względu na aktualność tematu, opowiadania te dotyczyły zwykle odbywanych podróży. Przy tej okazji dowiedziałem się, że Marszałek bywał w Stanach Zjednoczonych, w Japonji, a nawet w Kanadzie.

Na drugi dzień po opuszczeniu Funchalu, Marszałek odbył przegląd maszyn, oglądał urządzenia baszt działowych i odwiedził pokój nawigacyjny. Zdziwił wszystkich swoją niesłychaną żywością i niezmordowaniem zainteresowaniem wszystkim, co działo się wokół niego.

Żegluga od Madery do brzegów Europy odbywała się pod szczęśliwą gwiazdą. Pogoda sprzyjała nam w sposób niezwykle. Ocean, jakgdyby wysiliwszy się burzami, które targały nim w ostatnich tygodniach, uspokoił się i złagodniał.

Cóż znaczy jednak ocean w porównaniu z najgroźniejszym wrogiem marynarzy — zatoką Biskajską. Na wspomnienie o niej dostają gęsiej skóry najwytrawniejsi żeglarze... Bardzo to jest podły kąt globu ziemskiego. Nigdzie fale nie są tak wysokie, wiatry tak silne, burze tak długie, jak właśnie na niej, w tym kącie między Hiszpanją a Francją. Nic też dziwnego, że „Wicher“ miał przed nią pewną treść. Spokojny był tylko dr. Woyczyński.

— Marszałek Piłsudski — mówił — ma takie szczęście, że wody zatoki zastaniemy na pewno tak gładkie, jak w jeziorku przed pałacem Łazienkowskim.

Marynarze kręcili głowami.

Jednak dr. Woyczyński miał rację. Groźna, ponura zatoka, której brzegi zamieszkuje tajemniczy, niezna-

nego pochodzenia lud Basków, ukazała się nam spokojna i cicha.

Zaledwie wyminęliśmy brzegi Hiszpanji, uczuliśmy chłód. Pierwszy raz od trzech miesięcy. Strony *ciepłe* były już za nami. Zbliżały się kraje chłodne, chmurne i mgliste. Trzeba było sięgać do walizek po swetry i ciepłe ubrania.

Pomimo chłodu, Marszałek Piłsudski nie zaniechał dalszego zwiedzania okrętu i spacerów po pokładzie.

Po trzydniowej podróży przez ocean ujrzeliśmy nareszcie brzegi Francji i wkrótce potem wpłynęliśmy do portu w Cherbourg, aby wziąć nowy zapas paliwa w postaci ropy naftowej, którą opala się kotły „Wichra”.

Zaledwie zgrzytnęły łańcuchy kotwiczne i spuszczo no schodki, podjechała motorówka z francuskim oficerem komplementacyjnym, który, złożywszy zwykłe powitania, zapowiedział jednocześnie wizytę wojewody morskiego. W tym samym czasie z fortów nadbrzeżnych artylerja oddała 19 strzałów powitalnych.

Jeszcze nie odjechał oficer francuski, gdy zawarzała u schodków nowa motorówka i przybył na pokład ambasador Chłapowski w towarzystwie attaché wojskowego, płk. Błęszyńskiego, kierownika polskiej bazy morskiej w Cherbourg, p. Wtorkowskiego, oraz komandora Petelena.

Marszałek przyjął ich wszystkich w jadalni, która w tym wypadku imitowała salon. Do tego towarzystwa dołączył się później francuski wojewoda morski, admirał Berthelot.

Wojenny port w Cherbourg przedstawiał w czasie naszego pobytu widok dość osobliwy. Widniały tam bowiem na kotwicach dwa polskie kontr-torpedowce i trzy łodzie podwodne, podczas gdy francuskich wojennych jednostek było tylko dwie.

Branie ropy trwało przeszło pięć godzin. O 10-tej wieczorem goście opuścili pokład. Byliśmy już zupełnie gotowi do dalszej drogi, gdy nagle spadła na morze gruba warstwa nieprzejrzystej, gęstej mgły. Na odległość trzech metrów nie było widać dosłownie nic.

Mgła na morzach, gęsto uczęszczanych przez okręty, jest gorsza od burzy. Podczas największego sztormu żeglarz wie przynajmniej, co mu grozi i ma możliwość obrony. Podczas mgły człowiek staje się bezsilny. Otacza go miękki, wilgotny, nieprzenikniony тумan. Okręt tkwi w nim, niby w wacie i w każdej chwili jest narażony na rozbicie. Światła, które normalnie ostrzegają w nocy przed nadmiernem zbliżeniem się do innego statku, podczas mgły są bezużyteczne. Nie przebijają mlecznej zasłony nawet na odległość kilku metrów. Jedynym sygnałem ostrzegawczym jest ryk syreny, ale i jemu mgła szkodzi, ile może. Wprawdzie przewodzi głos doskonale, ale uniemożliwia rozpoznanie skąd pochodzi.

Mgła jest groźna szczególnie w kanale La Manche, gdzie przewijają się całe tłumy okrętów, przecinając go w różnych kierunkach. Wody kanału podczas mgły rozbrzmiewają głosem syren okrętowych prawie tak gęsto, jak ulica Marszałkowska głosami syren samochodowych. Łatwo wówczas o katastrofę. Podczas jednej z ostatnich takich mgieł uległo większym lub lżejszym uszkodzeniom siedemnaście okrętów. Nic też dziwnego, że gdy gęste tumany tego wroga żeglugi otuliły szczelnie port w Cherbourgu, pilot francuski oświadczył kategorycznie:

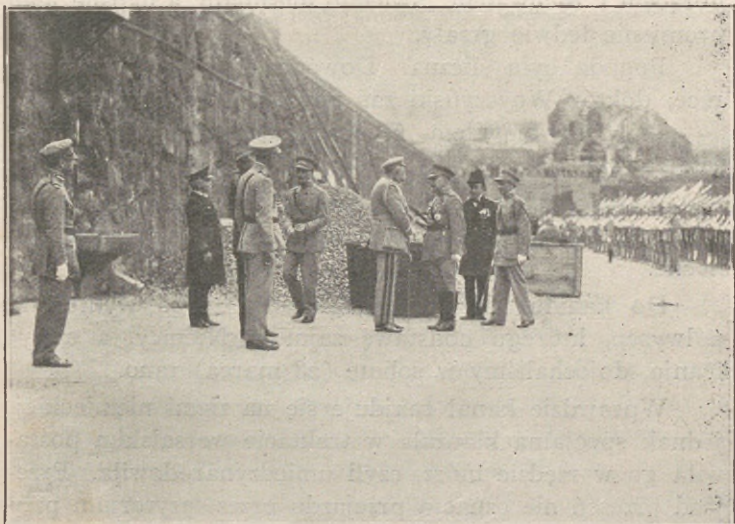
- Nie podejmuję się wyprowadzić okrętu z portu.
- Dowódca „Wichru“ próbował się targować.
- Niech pan ruszy pomalutku — namawiał.
- Nie! To za duże ryzyko.

Istotnie, byłoby to za duże ryzyko. Mgła osiadła tak gęstym тумanem, że nie było widać nie tylko światel z brzegu oraz latarni, oświetlających końce mól, ale na-

wet pokład tonął w lotnem mleku, co robiło wrażenie, jakgdyby ludzie brnęli w jakimś uchwytnym żywiole.

Komandor Morgenstern udał się do Marszałka Piłsudskiego i zameldował o sytuacji.

— Ha, cóż robić — rzekł Marszałek — musimy poczekać, jednak jak tylko się da, to jedźcie dalej.



Pożegnanie Marszałka Piłsudskiego na moło w Funchalu. Rozmawia z Marszałkiem płk. Silva Leal, wysoki komisarz rządu (generalny gubernator). Na lewo od Marszałka — b. gubernator José Maria de Freitas.

Podła mgła opadła dopiero około 5-ej rano.

Przywykliśmy myśleć o kanale La Manche, jako o morzu burzliwem i złośliwem. W rzeczywistości jest taki, jednak, dziwnem zrzędzeniem losu, w dniu naszej

podróży przypominał raczej wszystko inne, tylko nie burzliwe morze. Panował właśnie *sztıl* — cisza morską. Gładkiej powierzchni wody nie mącił najlżejszy nawet powiew wiatru. Mgła gdzieś się ulotniła, chmury powędrowały na kontynent i nad ponuremi zwykle wodami zajaśniało blade słońce północy. Patrzałem na nie z lekceważeniem. Gdzie mu się tam równać ze słońcem południowym — gorącym i zuchwałym. Świeciło nieśmiało, a ukośne jego promienie ledwie grzały.

Pogoda była śliczna. Dowódca „Wichru“ zacierał ręce, doktor Woyczyński zaś powtarzał co chwilę:

— A nie mówiłem, że Komendant ma takie szczęście zawsze...

W doskonałej formie minęliśmy brzegi Anglii i Francji i wjechaliśmy, po wyminięciu Doowr'u, na morze Północne.

Do kanału Kilońskiego, przecinającego wydłużony półwysep, którego podstawę zajmują Niemcy, a szczyt Danja, dojechaliśmy w sobotę (28 marca) rano.

Wprawdzie kanał znajduje się na ziemi niemieckiej, jednak specjalna klauzula w traktacie wersalskim postawiła go w rzędzie mórz, czyli umiędzynarodowiła. Przejazd przezeń nie oznacza przejazdu przez terytorjum państwa niemieckiego i jest tylko dalszą częścią podróży morskiej. Inna rzecz, że Niemcy starają się na każdym kroku zaznaczyć i podkreślić, że jednak przepok jest ich.

Niezwłocznie po dotarciu do zachodniego wejścia, zgłosił się urzędowy pilot, bez którego przejazd przez kanał jest wzbroniony. Snać w Niemczech było głośno o podróży Marszałka Piłsudskiego, gdyż za ledwie stanął na pokładzie, zapytał:

— Czy „Herr Marschal“ jest na okręcie?

Niemiec był dumny z tego, że przewoził osobę tak znakomitą i miał minę wniebowziętą.

„Wicher“ przecinał wody kanałowe z szybkością przepisową, to znaczy robiąc około 10 mil morskich (około 18 km) na godzinę.

Mijaliśmy kraj o wyglądzie typowym dla północnych prowincyj niemieckich. Porządne, czyste domy i schludne wsie na tle płaskich, ubogich widoków, przesuwały się przed naszymi oczami powoli, lecz nieustannie.

W mijanych wioskach i osadach ludność patrzyła na polski okręt wojenny napozór obojętnie. Co jednak naprawdę kryło się w jej duszach, powiedział mi wyraźnie taki obrazek.

W pobliżu jakiegoś miasteczka, którego nazwy nie znam, zauważyłem zdaleka grupkę harcerzy niemieckich, stojącą na brzegu. Gdy „Wicher“ zbliżył się do nich na odległość rzutu kamieniem, młodzieniaszki uszykowali się w szereg i rozwinęli ukryty dotychczas sztandarek. Dostrzegłem na nim czarnego, drapieżnego orła niemieckiego w dziwnym towarzystwie symbolu niewinności — lilji. Młodzieniaszki stali na „baczość“, a w chwili, gdy polski proporzec morski — ręka, uzbrojona w miecz, mijał ich znak niemiecki, — wzniesli jednocześnie ręce ku górze i grozili nam zaciśniętymi pięściami...

Widno było jeszcze zupełnie, gdy minęliśmy kanał Kiloński i przybyliśmy do wojennego portu niemieckiego w Kiel. Na molu oczekiwał już oficer komplementacyjny, który w kilka sekund po rzuceniu mostku, wszedł na pokład, przedstawił się i rzekł:

— Przysyła mnie tu pan admirał i zapytuje, czy może czemś służyć.

Dowódca „Wichru“ podziękował i poprosił oficera do saloniku. Po krótkiej, obojętnej rozmowie o pogodzie, Niemiec pożegnał się i wyszedł.

W czasie, gdy przedstawiciel wojennej marynarki niemieckiej świadczył grzeczność okrętowi polskiemu, stałem na pokładzie i przyglądałem się licznie zebranej na

mołu publiczności. W pewnej chwili powstał wśród niej ruch. Rozstępowano się pośpiesznie, aby zrobić miejsce komuś zbliżającemu się do mola. Zauważyłem, że owym kimś był rosły mężczyzna, któremu służba portowa bądź kłaniała się, bądź też salutowała po wojskowemu. Nieznajomy podszedł nad sam brzeg morza i przyglądał się przez dłuższą chwilę „Wichrowi“, poczem wsiadł w motorówkę i objechał wolno nasz statek kilkakrotnie.

Nie wiem, oczywiście, kto to był. Jestem jednak prawie pewny, że miał coś wspólnego z naczelnymi władzami niemieckiego portu wojennego w Kielu. O ile spodziewał się zobaczyć w naszym okręcie objaw słabości polskiej na morzu, to się zawiódł. Ciężkie, długolufowe działa dalekonośne na pewno nie nastroiły go wesoło...

Po opuszczeniu Kielu wpłynęliśmy na morze polskie, na Bałtyk.

„Wicher“ rozwinął tutaj szybkość wprawdzie nie największą, jaką osiągnąć może, jednak, jak na stosunki morskie, olbrzymią. Mknęliśmy, robiąc przeszło pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, a więc tyle prawie, ile pociąg pośpieszny.

Ztyłu, za rufą, utworzył się gruby wał wody, wzburzonej gwałtownym działaniem śruby. Za nim włókł się długi ogon białawej piany.

Obserwując ciężką pracę maszyn, od której cały okręt drżał i dygotał, odnosiłem wrażenie, jakgdyby „Wicher“ uciekał przed chmurami, wiatrem i burzą, kłębiącymi się za nami.

Jednak nie uciekliśmy.

Z chwilą nastania mroku siła wiatru wzmogła się, horyzont zachmurzył, a fale wyrosły wysoko i ustroiły się w piękne, białe grzywy. Rozpoczęło się niemiłe kołysanie.

Nie mieliśmy tego wieczora ochoty na partję szachów...

Następnego dnia (29 marca), o pół do dziewiątej rano, ukazały się na horyzoncie sylwetki polskich torpedowców, wysłanych przez dowódcę floty na spotkanie „Wichru“.



Na pokładzie „Wichra“ podczas podróży przez Atlantyk. Na lewo od Marszałka Piłsudskiego stoją: por. Kossakowski, płk. dr. Woyczyński i kpt. Lepecki.

Udałem się do kabiny Marszałka i zameldowałem:

— Panie Marszałku, zbliżają się trzy nasze torpedowce.

— Dobrze — odrzekł Marszałek i wyjrzał przez okrągłe okienko.

Przez dłuższą chwilę obserwował ewolucje okrętów wojennych, salutujących flagę ministra spraw wojsko-

wych, pod którą „Wicher“ odbywał całą podróż, poczem rozpoczął przygotowywać się do opuszczenia kabiny.

Wkrótce potem port gdyński był już zupełnie widoczny.

Marszałek Piłsudski udał się na mostek kapitański i spoglądał na roztaczający się przed nim rozległy widok.

Należy przyznać, że Gdynia, widziana z morza, robi już dzisiaj wrażenie dużego, dobrze rozbudowanego portu. Wyniosłe sylwetki kranów, wywrotnice, wielkie składy, dziesiątki okrętów — wszystko to świadczy, że port nasz wyszedł już zupełnie z pieluch i obecnie stanowi naprawdę płuca wielkiego kraju.

Rozległy się strzały armatnie.

Dowódca „Wichru“ zbliżył się do Marszałka i zameldował:

— Panie Marszałku, krążownik „Bałtyk“ salutuje pana Marszałka.

Stałem tuż przy Marszałku Piłsudskim i obserwowałem jego twarz. Jak wiadomo, jest to człowiek zamknięty i nie uzewnętrzniający swoich uczuć; trudno odgadnąć, co myśli i co czuje, jednak nie omyliłbym się zapewne, gdybym twierdził, że z powrotu był więcej aniżeli zadowolony. Nie zdradziły tego rysy, lecz mówiły o tem wyraźnie oczy. Jego przenikliwe, o głębokiem spojrzeniu „okna duszy“, śmiały się do wyłaniającego się z morza polskiego brzegu.

Minęliśmy kilka okrętów wojennych, na których załogi salutowały, i wreszcie przybiliśmy do mola w porcie wojennym, gdzie oczekiwał premier Sławek, minister Prystor, minister Składkowski, minister Kühn, wiceminister Konarzewski, wiceminister Beck, szef gabinetu ministra spraw wojskowych, mjr. dypl. Sokołowski i mnóstwo in-

nych dygnitarzy, którzy przybyli powitać największego Polaka doby współczesnej.

Marszałek Piłsudski zeszedł szybkim krokiem z pokładu i udał się na ląd, gdzie wpadły mu w objęcia żona i córki.

Naokoło leżał śnieg, a w powietrzu unosił się mróz.

Grm. 927.





9780/1